

NA RUINY!

NA RUJNY!

Na rzecz restauracyi pamiątkowej świątyni

w Sandomierzu.

Kościół św. Jakóba w Sandomierzu, najstarsza budowa w tem prastarem Piastowem gnieździe, słynie ze swej starożytności po całej Polsce więcej jak wszystkie inne, bo pisano o nim niejednokrotnie, podnosząc jego portal ceglany, pomnik Adelajdy i szczegóły inne; słynie męczeństwem 40 dominikanów, bo kościół cześć ich utrzymał.

Historya bardzo niewiele pewnych danych przynosi nam o tym kościele. Przytoczymy je tu po krótku.

Początek kościoła i obsadzenie przy nim dominikanów tak nam opisuje Długosz¹: „Sandomierski klasztor dominikanów ma dwa domy: jeden w starem mieście Sandomierzu za murami, który (po zburzeniu kościoła parafialnego św. Jakóba i wybudowaniu dla całej parafii kościoła św. Pawła), Iwo, biskup krakowski w r. 1226 wybu-

¹ Liber beneficiorum T. III. str. 454.

dował i przeznaczył dla braci dominikanów. Dawny zaś kościół parafialny św. Jakóba miał być wybudowany przez szlachetną i pobożną pannę Adelajdę córkę Kazimierza syna Bolesława Krzywoustego, niegdyś księcia krakowskiego i sandomierskiego a Królestwa Polskiego monarchy; ta służąc Bogu w dziewictwie, 8 grudnia 1211 r. umarła i w tymże kościele św. Jakóba pochowana, spoczywa“.

W XIII w. zamieszkiwał tu św. Jacek Odrowąż, którego razem z dwoma innymi, przybyłymi z Sandomierza wylicza Długosz¹ wśród obecnych na kapitule w Krakowie w r. 1232. Dotąd istnieje przy kościele kaplica, przerobiona jakoby z celi św. Jacka.

W czasie napadów tatarskich na Sandomierz koś. św. Jakóba stawał się pastwą dzikiej hordy. Taką np. czytaliśmy notatkę u tegoż Długosza²: „trzeba zanotować, że w czasie napadów tatarskich klasztor św. Jakóba kilkakrotnie był spustoszony i spalony, a 46 braci zakonnych jednocześnie pewnego dnia tatarzy zamordowali; miejsce więc to tą krwią braci i innych wiernych wślawione zostało i uświęcone“.

Ku czei tych męczenników około r. 1600 wystawił kaplicę w przedłużeniu lewej nawy bocznej Teofil Szemberk z Reichenbachu, kasztelan kamieniecki.

¹ Tamże str. 450. ² Tamże str. 456.

W XIV w. kościół bardzo podupadł. Energetyczny prowincjał dominikanów Andrzej Ruteni wyjednał od pobożnej królowej Jadwigi dekret ¹, wydany w Krakowie w środę po Ziel. św. r. 1399, w którym czytamy: „Ponieważ kościół i klasztor dominikanów sandomierskich na przedmieściu będący, znaleźliśmy bardzo zniszczony przez starość i grożący upadkiem, jeżeli przez naprawę gmachów lub przebudowanie murów temu się nie zapobieży, a bracia tego klasztoru jako bardzo ubodzy, nie są sami w możności temu zaradzić, pozwalamy im przeto nabywać niektóre własności, bądź szlacheckie, bądź miejskie, a to w tym celu, aby z nich pobierany dochód mógł być obracany na naprawę kościoła“.

W r. 1631 na kapitule zakonnej postanowiono dotychczasowy drewniany pułap usunąć i zamienić go murowaniem sklepieniem. Co też w r. 1670 uskuteczniło z wielką szkodą dla estetycznego wyglądu kościoła.

Dn. 6 kwietnia 1657 r. zamordowany został w kościele staruszek zakonnik Augustyn Rogalia przez żołdaków Rakoczego.

W r. 1864 rząd zniósł klasztor, a kościół zamienił na filialny i oddał księżom świeckim.

Pod względem estetycznym i architektonicznym tak ten starożytny pomnik charakteryzuje Łuszczkiewicz ²: „Kościół św. Jakóba w Sando-

¹ Archiw. kapitul. ² Spraw. kom. dla b. h. szt. T. III.

mierz u zajmuje odrębne miejsce w szeregu naszych pomników romańszczyzny. Odrębność tę zyskał starannem przeprowadzeniem form romańskich cegłą — tym materiałem, który tu występuje jako jedyny konstrukcyjny wątek, w chwili, kiedy powszechnie w okolicy używanym jest do monumentalnych budowli ciosany kamień. Całość nie pokaże się wprawdzie jednym organizmem, ale zbiorem kilku części. Mimo tego każda z tych części stanowi osobną organiczną całość, godną najwyższego uznania za to poszukiwanie piękna, jakim się po swojemu charakteryzuje. Najstarszą i najpiękniejszą odnosimy do trzeciego dziesiątka lat XIII w., gdy dwu drugim przypadnie przypisać lata środkowe i końcowe tegoż stulecia. Panuje więc w całym gmachu styl romański ceglany, z temi odcieniami, jakie czas przynosi. Motywa architektoniczne części najstarszej w świątyni naszej nie powtarzają się w żadnym innym pomniku architektury średniowiecznej w Polsce.

Świątynia ta układem planu i wzniesień należy do rodzaju staroromańskiej bazyliki pułapowofilarowej; co, obok zaprowadzonego współcześnie systemu sklepień ostrołukowych w romanizmie naszym, wykazuje owo poszukiwanie za nowymi środkami, które pozostanie świadectwem życia sztuki na ziemiach Polski. Z wystawieniem kościoła św. Jakóba w Sandomierzu zaczyna gasnąć znaczenie cystersów i ich ciosowych budowli, a powstaje zwrot w kierunku użycia tańszego, łatwiej-

szego środka — dobrze wypalonej cegły i przera-
dzającej się w ornamentacyjne płyty, ceramiki.
Starostawiańska biegłość w wyrobach z gliny,
jej modelowaniu w ozdoby i jej rytych rysunkach,
zyskuje napowrót szerokie pole do pracy w po-
mnikach architektury chrześcijańskiej, a stosuje
to od razu z tą biegłością polski robotnik, jak
tego kościół nasz jest dowodem pewnym“.

W r. 1905 w koś. św. Jakóba pożar porobił
duże szkody. Nie mogąc w inny sposób zebrać
poważniejszej sumy, potrzebnej na restaurację,
postanowiłem wydać w tym celu zbiorową „Jed-
nodniówkę“. Jestem najmocniej przekonany, że
społeczeństwo nasze zainteresuje się tak ważną
pamiątką naszej kultury i w krótkim czasie roz-
kupi wszystkie egzemplarze tej książki.

Wszystkim Szanownym Autorkom i Autorom,
którzy raczyli łaskawie nadesłać swe cenne pra-
ce, składam serdeczne podziękowanie: Bóg zapłać!

X. Józef Rokoszy

Skarbonę żywą, dłoń od krwi serdecznej gorącą — wyciągam i wołam: Rodacy, złóżcie datek na starą świątynię!

Lecz, zanim grosz ofiarny padł do skarbony, w uszach zgrzytnęły słowa, wdzięczną szatą altruizmu odziane, a jednak — takie suche, takie twarde, tak faryzajsko obłudne...

Jak lód błyszczący a ostry ranią duszę.

„Co? Znów składki? I na jaki cel? Aby utrzymać w całości ruiny? zabytki średniowieczne zabobonu?

A głodni? a ciemni? a opuszczeni, więźniowie i wygnańcy? Cóż dla nich? Tyle potrzeb kołaczę do obywatelskich uczuć ogółu—a wy, nieoprawni czciciele fałszów, wyzyskujecie ofiarność na rzecz omszałych pleśnią zapomnienia rozwalin. Opamiętajcie się!

Czyż zahypnotyzowani błyszczącym próchnem przeszłości wciąż obracać się będziem w takt melodyi, wygrywanej na skrzypcach wspomnień

i pamiątek? Czyż nawet chwila obecna, ta krwa-
wa, ponura, groźna chwila przełomu, nie wytrze-
źwi nas z narkozy przeszłości?

Płynie krew, duchy i ramiona tężą się w zma-
ganiu o przyszłość nową — a wy, sercami przy-
warci ku trumnom, czcicie ślepo przeżytki bytu,
ruiny, symbole, znaczki—przeżytki, które zdrowy
rozum od dawna skazał... na śmietnik tradycji...
Dość tego! „Z żywymi naprzód trzeba iść!”

Czujecie ostrze tych słów? hańbę takich na-
woływań? zwodniczą sofistykę rozumowań?

Tak, prawda! Głodnym potrzeba chleba, świa-
tła ciemnym, nieszczęsnym współczucia, upadłym
i zbłąkanym—przebaczenia. A wszystkim, wszy-
stkim... miłości.

Czujemy to gorąco, dotkliwie, nie przez wy-
rozumowany nakaz etyki, lecz bólem olbrzymim
skatowanych ciał, storturowanych duchów narodu.
I z żywiołową potęgą zrywamy się wszyscy —
ku pomocy dla wszystkich.

Bo Polak z narodem — to jedno.

Gdzież jednak szukać źródeł tego współczu-
cia, które łączy gromadę ludzką w nierozer-
walny splot narodu? które każe kochać, troskać
się o głodnych, ciemnych i smutnych rodaków?
Jakie czynniki wykuły ogniwa, łączące miliony
nieznanych sobie istot tak spójnie, tak ściśle, że
dość dźwięku jednej pieśni, hasła, myśli jednej—
aby prąd zapалу poruszył wszystkie serca, ujarz-
mił wszystkie duchy! Zkąd początek bierze po-
tęga, cudem której rozszarpane członki narodu,

to ciało Stanisławowe, żywie, rośnie, potężnieje, ku zdumieniu obcych, wrogom na dziw i strach? Z jakich to głębin tajemniczych snuje się nie nieuchwytna, ledwo wyczuta, która jednak wielką rodzinę naszą sprzęga myślą i czynem i wiedzie po szlakach dziejowego pochodu?

Przeżytki li to?—czy żywa i życiodajna siła?

Z popielnic prastarych, z szarego prochu kości naddziadów, z zabytków sławy, niedoli i cywilizacji naszej, z pożółkłych kart dziejów—pły nie ten prąd potężny, co jednoczy i rozpala miliony serc przez szereg wieków. Bo na tych odwiecznych aktach naszego bytu Król Duch wycisnął swoje piętno i złożył w nie, jak w arkę, skarby duchowych i cywilizowanych zdobyczy. Więc też z przeszłością, która nas splodziła, zrosli jesteśmy tak silnie, że pod klątwą zniszczenia, pod grozą kalectwa, niewolno rozrywać tejspójni—jak nie godzi się przykładać siekiery do życiodajnych korzeni.

Z łona matki ziemi czerpie dąb soki żywotne, co szumią w zieleni jego świeżej korony. Zrąbana kłoda dostarczyć może ludzkości wiele pożytku. Mistrz zaklnie w nią ducha własnego i stworzy arcydzieło — ołtarz Maryacki. Lecz nawet wtedy, gdy stanie się podziwem pokoleń i wieków — drzewo umarłe nie wystrzeli ku niebu liściem zielonym, nie zaszumi bogatą koroną hymnu życia ziemi rodzicielce.

I z wystygłej piersi narodu, który urąga przeszłości, uleci Król Duch,—ten Duch, co oży-

wiał ongi bohaterów, co rozpalał korony chwały nad czołem swoich wybrańców. A pierś pusta, jak materya bezduszna, stanie się łupem zniszczenia.

Nie czerpmy więc zbyt skwapliwie z letejskich wód zapomnienia. „Zapomnieć — zawinić” przestrzega jeden z wieszczów. Naród, który pragnie żyć, trwać i zdążać ku wyżynom doskonałości, musi z przeszłości czerpać naukę, przestroagę lub zachętę; w teraźniejszości winien kochać i przebaczać—a dla przyszłości—pracować.

Skarbone żywą—dłoń rumianą od krwi gorącej wyciągam i proszę: Na starą świątynię złożcie datek, Rodacy!

G r y f.

NIE ZBURZYSZ!

Książę Gintułt osobliwą pieczę darzył jeden z klasztorów zamiejskich, a mianowicie kościół i klasztor świętego Jakóba. Wznosząc w tamtej stronie, od zamku aż po drogę opatowską, owe wysunięte ouvrages extérieures, w czasie dozoru swych chłopów, długie godziny trawił na kontemplacyi odwiecznych romańskich murów kościoła, jego ceglanych ścian, pokrytych sześćsetletnią patyną czasu... Jakże głęboką, jak zrosłą z ziemią wydała mu się powieść o wiecznym śpiewie, o wiekuistej wigilii nocnej w tej świątyni, gdzie się modlili za życia wymordowani!... Omszałe mury dominikańskie poczęły promienieć dla księcia przezczystą światłością, niematerialnem jaśnieniem, które otacza cnotę męztwa, honor przysięgi dotrzymane i grób męczeński. Między jego duszą a owym murem, stromo wystrzelającym ze szczytu wzgórza, między kopułką ka-

plicy — celi Jacka Odrowąża wyrosła w tym czasie jakgdyby żyła nierozzerwalna.

Nieraz Rafał zdrybał tak księcia siedzącego pod przykopą, na wystającym kawałku żerdzi, w miejscu, gdzie w trzynastym wieku istniały winnice dominikańskie, zapatrzonego w uroczy portal północny, w ozdobne łuki półkoliste okien, we floresy frontonu. Nie tajne mu też były zabiegi, żeby ten klasztor osłonić najbardziej zarówno od nieprzyjacielskich pocisków, jak i od możliwego zbombardowania miasta.

* *

Rafał pracował wraz z innymi oficerami przy armatach baterji czwartej, aż do momentu zupełnego odepchnięcia napadu. Widząc, że pozycja na teraz jest bezpieczna, skierował się wielkimi krokami w wąwóz obok świętego Jakóba, ażeby generałowi zdać sprawę. Gdy przebiegał obok kościoła, ktoś go zawołał po imieniu. To księżę Gintułt stał przy portalu i kiwał na niego ręką. Bujne płomienie, buchające z miasta, oświetlają kościół. Cień od figury Gintułta, ruchomy, olbrzymi i długi, pływał po całej olbrzymiej ścianie, padał na staję młodego jęczmienia, który tuż za murem bujnie się plenił. Wewnątrz kościoła stali zaczajeni chłopci Gintułta, ściskając gwery austriackie, nabite austriackimi ładunkami, niedawno wydobytych z ratusza.

— Dokąd idziesz? — krzyknął księżę.

- Do generała.
- Z dobrą wieścią?
- Z dobrą.
- Pamiętaj, pamiętaj, żeby mi świętego Jakóba szanował!
- Cóż ja mogę...
- Pamiętaj, pamiętaj!...

* *

...Oto środkiem tłumu biegł z gołą szpadą oficer komenderujący i szykował lud żołnierski w kolumnę, któraby weszła w obręb baterii czwartej świętego Pawła. Oficerowie młodszy, stosownie do rozkazu, opróżniali teraz mury klasztoru świętego Jakóba. Jednego z nich książe zaczepił niezwłocznie w sposób ostry i wyzywający: czemu to zamiast ludzi pędzić na obronę starej świątyni, on ich właśnie stamtąd z takim męstwem wywłóczy? Oficer spojrzał na niego z góry i mruknął, żeby się odczepić:

— Kamień na kamieniu za godzinę z tych murów nie pozostanie. Jakże mam ludzi w nich trzymać!

— Czemuż to ma z tych murów kamień na kamieniu nie pozostać?

— Bo będą z naszych baterii armatami zdruzgotane. Wzięły klasztor Austriacy, ale w nim zginą.

Książe nie słuchając dłużej, pobiegł pędem ku górze. Wiedział, że źle czyni sobie, czuł

gorzki żal, że biedz musi... Ale gniew nie dał mu stanąć. Zwalany błotem, bez czapki, z rozwianym włosiem mijał baterye. Ludzie, stojący w milezeniu u armat i strzelnic, zwierzali sobie myśl, że musi być bardzo źle, że to, widać zwiastun nieszczęścia. Księżę dopadł miejsca generalskiego w tej właśnie chwili, kiedy wydane zostały rozkazy zburzenia starego kościoła, żeby z niego noga austryacka w wawóz nie zeszła.

Kanonierowie wyrzyczowali działa na łożach. Z zapalonymi lontami czekali na komendę ogniomistrzów. Sokolnicki stał bez ruchu z lunetą przy oczach i lustrował jeszcze kościół.

Świątynia stała przed nim w lunie, w blasku ognistym, zgrzybiała, straszna, jakoby grobowiec, na który nie masz dość potężnej siły, któraby go tknąć mogła. Oto przybiegł zdyszany adjutant Rafał Ostrowski i zdawał sprawę, że wszystka siła wyszła z murów świętego Jakóba, że już jest w bateryi „numer czwarty“, że tam ledwie i tych sił połączonych starczy do obrony, że opuszczone mury nieprzyjaciół zapełnił, że ciągnie działa w obręb klasztoru, żeby stamtąd bić w Sandomierz. Generał skinął głową i złożył lunetę. Gintuł stanął przed nim.

— Czego? krzyknął Sokolnicki.

— Święty Jakób ma być zburzony?

— Kto waści wzywał do mnie?

— Nikt mnie nie wzywał.

— A więc?...

— Przychodzę zapytać się...

— Pal! rzekł Sokolnicki, odtrącając natręta.
Nim komenda została powtórzona, Gintułt schwycił generała za rękę, za ramię... Błagał go z krzykiem:

— Patrz! Świeci się cała...

Rozległ się pierwszy strzał.

— Wstrzymaj rozkaz, generale! Zbierz wszystkie siły, uderz na tę pozycję, jeszcze ją wydrzesz!

— Nie mam sił żadnych... mruknął generał, oszołomiony napaścią.

— Masz pięć tysięcy ludzi!

— Idź precz, człowieku!

Huknął strzał drugi i trzeci.

— Święte popioły rujnujesz i depcesz?... Czyliż nie widzisz, co zburzą te kule! Patrz!

— Widzę nie gorzej od waści. Ale zburzę święte popioły dla ocalenia żywego miasta. Słyszalesz?

— Nie zburzysz!

Nowe rozległy się strzały. Gintułt chwycił Sokolnickiego za piersi, krzycząc, żeby kazał zaprzestać. Oficerowie przyboczni oderwali go siłą i odepchnęli. Wtedy w męcie bezrozumnej skoczył ku armatom, wydarł z rąk kanoniera lont zapalony i cisnął go na ziemię. Oniemiały żołnierz stał bez ruchu. Księżę przypadł do drugiego... Ale oto oficer sekcijny pchnął go szpadą w piersi. Żołnierze odtrącili rozszalałego wychciorami. Jęknęły armaty od strzałów.

— Żołnierze! krzyczał Gintułt, leżący na ziemi—nie słuchajcie tego rozkazu! Żołnierze, żołnierze...

Huk wystrzałów był mu odpowiedzią. Wtedy książę zebrał ostatek sił i zawołał z całej mocy cielesnej i ze wszystkiej mocy ducha:

— „Do mnie, dzieci wdowy!“

Rafał Olbromski usłyszał ten okrzyk, jak trzask piorunu. Straszna trwoga włosy mu zjeżyła na głowie. Ujrzał w duszy swej moc przysięgi na ten okrzyk i pętlę jej czarodziejstwa uczuł na sobie. Bez tchu, z bielmem na oczach wyrwał pałasz z pochwy i przyskoczył do księcia. Ten spojrzał na niego półmartwemi oczyma i rozkazał:

— Wydrzyj lonty i zgaś! Nie daj świętych popiołów!

Z „Popiołów“ S. Żeromskiego.

ZIEMI SANDOMIERSKIEJ, CZEŚĆ!

Błogosławi cię rolnik, ziemio dobrotliwa!
Wszystkie Polskie ziemice dają piękne żniwa,
Lecz ty hojniej nad wszystkie radujesz mi serce;
Któreż ziarno wyrówna złotój Sandomierce?

Jak ziarna tak i serca rosną w tobie szerzej.
Serdeczność bije zewsząd, nawet przy wieczerzy.
Ze wszystkich słów miłości co brzmią w Polskiej
[mowie,
Czyż nie najmiłościwszém „Sandomierskie Zdrowie?”

I niebo twe jest godne podziwu aniołów.
Nimbusem świecą mury twych wież i kościołów,
Gdy w łunie co czterdziestu słońcami się kręci,
Schodzą z palmą nadziei Sandomierscy Święci!

Deotyma.

... **O** nie mówcie, o nie wiercie,
Że ojczyzna w grobie!
My ją żywą, my ją całą,
Ducha Polski, Polski ciało,
Mamy, bracia, w sobie!

O nie mówcie, o nie wiercie,
Że Polska zabita.
Ona dyszy, ona rośnie,
W każdej borów naszych sośnie,
W każdym ziarnie żyta.

Ona złoci się na łanie
W każdym pszennym kłosie,
Kwitnie w kwiatach naszych błoni,
W jasnym sierpnie łąką dzwoni,
Błyska w jasnej kosie.

Ona żyje w tej siermiedze,
W tej siwej sukmanie,

Co na piersiach naszej wiary
Racławickiej dojdzie miary,
Gdy chłop w pola stanie.

W tym Piastowym żyje pług,
Co nam ugor orze,
W modłach żyje tego ludu,
Co czekając z nieba cudu,
Woła: „Święty Boże!...”

W tej fujarce rozśpiewanej
W wieczorową ciszę,
W stuletniego skazce dziada,
W piosnce, którą matka składa,
Gdy dziecię kołysze.

Ziarno jutra ona miota
Po czarnych ugorach,
Skowronkowe gniazda ściele,
Brzęka w stare karabele,
W naszych białych dworach.

O nie mówcie, o nie wiercie,
Że ojczyzna w grobie!
My ją żywą, my ją całą,
Ducha Polski, Polski ciało,
Mamy, bracia, w sobie!

Żarnowiec

d. 17/XI 1906.

Marya Konopnicka.

Groźny czas, ciężarny jakąś przyszłością nie-
znaną. Wszystko trzeszczy w swoich spoje-
niach, wszystko się chwieje w swoich podstawach.
Co to jest? Czy to może już istotnie „rozgrzmiał
się sąd w niebie ponad lat zbiegłych dwoma ty-
siącami?” Czy to może początek kary na wszy-
stkie niegodziwości ludzi, Instytucyj, Praw,
Państw?

A jeżeli to początek, to jakiż będzie koniec?
Czy to będzie tylko kara, czy odrodzenie? Czy
„z myśli Bożej rozwinie się świat nowy“ lub też,
czy tylko „nowe zbrodnie przyjdą karać stare,
a same nic nie utworzą, nic nie zbudują!“. To
jest samo jądro kwestyi, sama sfinksowa zagadka
tego chaosu, w którym żyjemy. Na jej rozwią-
zanie dobrze pracować powinniśmy, przyczynić
się do niego możemy wszyscy, jeżeli będziemy
dobrego strzedz i bronić w sobie i około siebie,
każdy w zakresie swojej możliwości.

Ale nie zdołamy o własnej mocy, bez pomocy.
„Bóg bez nas samych nie może nas zbawić“ —
bez naszej woli zbawienia i służenia zbawieniu.
Ale tak samo my nie możemy nic zbawić, nic
poprawić bez Boga¹.

Sł. Tarnowski.

¹ Z przemówienia przy obchodzie pięćdziesiątej rocznicy ogłoszenia Dogmatu Niepokalanego Poczęcia—we Lwowie 29 września 1904 r.

Zdawałoby się, że praca ukształcenia serca, oparta o ideał religijny, dobra na czasy, gdzie naród skrepowany w ucisku i na bierne skazany jest życie.

Zdawałoby się, że na czasy, wzywające do czynu, serce i miłość szczytna i praca duchowa zbędnym jest balastem.

Boć wtedy myśl tylko ostrzyć i wolę hartować należy.

Lecz w istocie tak nie jest.

Myśl, bowiem, kształtująca kontury dla przeobrażającego się społeczeństwa, bez wyżyn duszy, bez wyrobienia jej, bez wytycznych ideału wiary będzie myślą chwiejną, niejasną, a taka nie natchnie wielkiego czynu.

Myśl taka, czy to wdrożona w programy edukacyjne, czy programy szkolne, czy socyalne, czy też praktyczne, będzie może w drobiazgach wykończoną, ale za to w ideale samym utykającą wiecznie na coś i o coś: czy to o samolubny

punkt patrzenia, czy też o ciasną jednostronność, czy to o niejasność i zamglenie i pomrok.

Dopiero praca wewnętrzna, spływająca z żywego, jasnego ideału wiary, wytwarza myśl społeczną i narodową, pełną i całą.

Przypominają mi się słowa niewierzącego ale uczciwego myśliciela czasów naszych: „we wszystkich rzeczach posiadanie i znajomość ideału, opartego o niezbitą pewność, jest czemś tak ważnem i znacznem, że zastępuje mnóstwo braków i ztąd to człowiek prawdziwie religijny jest zawsze ukształconym człowiekiem, jakkolwiekby mało miał ukształcenia w szczegółach“.

Ale za słabe to jeszcze określenie.

Wielki jasny ideał religijny jest nadto stroicielem ideałów innych i myśli wszelakich.

Wielki ideał macierzysty wiary, lęgnący się w oczyszczonej z samolubstwa duszy, wprowadzi każdy program, czy szkolny, czy społeczny, czy też polityczny w łączność z ideałami przewodnimi życia i ducha narodowego, jego tradycyi i jego nowych potrzeb.

W duszy wyrobionej działa on jako instynkt etyczny, który w lot, czy w małych, czy wielkich rzeczach ostrzeże, gdzie tkwi linia graniczna pomiędzy prawdą, a złudą, w szaty prawdy okrytą.

On to sprowadza moralność, przeanalizowaną i pozbawioną steru, napowrót do tych linii, jakie wytyka zdrowy chrześcijański zmysł moralny.

A będąc wszędy strojem rozstroju, sam ukry-

ty idzie, by pod słowa i myśli, nieraz powszednie, siać wielkie nastroje.

A gdy nastrój estetyczny, który malarz wlać potrafi w obrazek drobnutki, karmi tylko nasze poczucie piękna; nastrój moralny, spływający z świętości, uduchowienia i żywej wiary, podnosi, prostuje, przeobraża świat myśli, a co za tem idzie, świat działań i czynów i tak odra-
dza ojczyznę.

Myślę, że nie wadzi przypomnieć w chwili tworzenia się mnóstwa planów to, co jest warunkiem pełnych i żywotnych programów.

A także, jeśli kiedy, to dziś wołać potrzeba: „na wielkie chwile zbudźcie serca wielkie“.

Arcybiskup Teodorowicz.

O Panie, zobacz, co się z nami dzieje,
o, przejrzyj nędzy naszej szarą toń,
Twojej Wszech-Litości otwórz nam wierzeje
i ściągnij ku nam miłosierdzia dłoń —
Oto, jak obłąkanych liści garść w jesieni
w korowodach krążymy — bezdrożni, znudzeni,
na wietrze...

Ze złudy pieluch życie nas odarło
i ukazało nam swą nagą czechość —
Szczęścia marzenie w nas zdawna zamarło
i zniechęcenie nasz najczęstszy gość.
„Bo cóż mi z tego, Panie, choć cały świat zyszczę,“¹
gdy w duszy mojej blade, wciąż smutniejsze zgliszcze,
wciąż bledsze.

¹ Św. Paweł.

Ziemi okowy wszystkie z nas opadły
a wzlecieć wyżej, oto, sił nam brak...
I duch nasz chwiejny, starością wybladły,
choć w świat nie wierzy, ogląda się wstak;
i jak babiego lata biała nić powiewna
fałuje nad ścierniskiem, opada, niepewna,
i wzlata.

Tak na bezsilne nasze wsparci skrzydła
...my, ziębnącego ducha, cierpim krzyż...
Z dołu się ku nam podnoszą straszidła
z błota i kurzu — Panie, ku nam zniż
Twój wzrok — i wznieś ku sobie lub strąć nas litośnie
Cierpim — lecz ani smutnie ani nam radośnie
śród świata.

Nina Spasowiczówna.

Petersburg
styczeń 1903.

O POSTĘPIE W ŚWIETLE

CHRYSYANIZMU.

Każdy doktor nauczony o królestwie niebieskim podobny jest człowiekowi, gospodarzowi, który wyjmuje ze skarbu swojego nowe i stare rzeczy. (*Mat. XIII. 52*).

Żaden nie wprawuje łąty nowego sukna w starą szatę. Albowiem odrywa od szaty całość jej, i stawa się gorsze rozdarcie.

(*Mat. IX. 16*).

Istnieje pewne hasło, które przeszło od pół wieku w społeczeństwie naszym rozbrzmiewa, a w sposób osobliwy ludzi porusza, młodzież olśniewa, i tłumy za sobą pociąga.

Tem hasłem jest postęp.

Jak roślina zwraca się ku słońcu, podobnież ludzkość do hasła postępu—znać, że szuka w nim tego, czego roślina wygląda w promieniu słonecznym: światła, ciepła i życia, oraz obietnicy jakiegoś szczęścia, do którego czuje, że ma niezaprzeczone prawo.

Nie wszyscy jednak to hasło równo rozumieją, nie ma bowiem na świecie wyrazu, któryby tak różnorodnych, a dziwnie między sobą sprzecznych aspiracyi i dążeń był przedstawicielem, a raczej osłoną. Jako hasło, rzec można, że sam ten wyraz okrył więcej nadużyć aniżeli to sobie wyobrażamy... bo czegoż nie nazywamy postępem? albo postępem?

Ludzie uważają, np. za szczyt postępowości zerwanie wszelkiego związku między starami laty a nowymi, wyzwolenie się z wszelkich więzi tradycyi, jej drogowskazów i dogmatów, za hasło postępu stawiają jedynie: naprzód, bez oglądania się po za siebie, w zerwaniu z tak zwanymi przesądami wierzeń i dogmatów i t. p.

Uważają także za postępowe dążenie do osiągnięcia jak największej summy dobrobytu materialnego i t. p.

Chaotyczność zaś pojęć co do postępu na drogach umysłowości jest jeszcze bardziej zdumiewająca¹.

Zważywszy doniosłość faktu tej rozbieżności, warto się nad tem zastanowić, czem jest właściwie postęp w ogólnem tego słowa znaczeniu, i jaki jest jego w naturze ludzkiej pierwiastek?

Postęp, uważamy sam w sobie jako *absolut*, jest to zmierzanie ku coraz doskonalszemu... jest to prawidłowy *rozwój* danego pierwiastku względnie do jego celowości, a uważany jako rozwój,

¹ M. Przewóska.

jest to kardynalne prawo i obowiązek wszechbytu... jest to właściwa droga ewolucyi, którą wszech-istnienie do swego kresu zmierza.

Postęp, w stosunku do obowiązków człowieka, odpowiada zupełnie temu pojęciu.

Ideałem zaś i zasadą postępu jest Ten, który jest źródłem wszechbytu: Bóg, o czym świadczą niejednen tekst biblijny.

„Rośnijcie i rozmnażajcie się, i napełniajcie wszystką ziemię, i czyńcie ją sobie podwładną“ — rzekł Stwórca do pierwszych ludzi.

W tych krótkich słowach mieści się treść obowiązku *ustawicznego rozwoju i wszechstronnego postępu człowieka*, w czem granice są dla niego nigdy niedościgłe.

Chrystus, który przyszedł na ten świat, nie na to aby zakon nieść, jak się sam wyraził, ale aby go uzupełnić, *pogłębił i rozświecił* zasadę postępu: Bądźcie doskonałymi jako Ojciec wasz niebieski doskonałym jest, powiedział rzeszom Izraelskim, czyniąc temi słowy dążenie do doskonałości istotnym obowiązkiem dla wszystkich.

I nie tylko Chrystus nakazał ludziom wciąż postępować t. j. zmierzać *naprzód* bez wytchnienia, ale ten swój rozkaz obwarował groźbą: *kto nie postępuje ten się cofa*.

Co znaczy cofać się? Jest to oddalać się od swego celu, zdążać od życia do śmierci, od światła do ciemności, od nadziei do rozpacz...

Wszakże Chrystus zachęcił nas do postępu nietylko słowem lecz więcej jeszcze czynem, bo czyż Jego działalność na arenie świata nie była zdumiewającym i wszelkie ludzkie oczekiwania przewyższającym postępem, zerwaniem z rutyną, z szablonem z bezduszną formą, oraz wszelką strupieszalnością?

A dzieje pierwotnego Kościoła czyż nie są „sui generis“ zdumiewającym postępem na widowni starego świata, przez zniesienie niewolnictwa, wyemancypowanie kobiety i podniesienia sztandaru humanitarnego o *wolności, równości i braterstwie*, którym dziewiętnaście wieków później rewolucya się szczyciła jakoby plonem własnego dorobku?

I nietylko na polu etyki Kościół przoduje postępem, bo wielu to sławnych mężów wydał nam w dziedzinie ścisłej wiedzy, wielu działaczy społecznych, wielu to natchnął artystów, poetów!

A klasztory czyż nie były najpierwszymi ogniskami oświaty, w których, *na opoce konserwatyzmu niezłomnych zasad* budował się *najwspanialszy gmach wszech-postępu?*

Zajmującym w istocie byłby rys dziejowej grawitacyi światła z ducha religii płynącej — temat iście ciekawy, godny starannego opracowania. Wykazałby nam zapewne bezustanne starcia na łonie Kościoła między światłem a ciemnością... między światłem tryskającym z ducha Kościoła, a ciemnością płynącą z ułomności ludzkiej, za

którą ludzie złej woli czynią Kościół najniesłuszniej odpowiedzialnym.

Nie myślę tu bynajmniej dowodzić, jakoby Kościół przewodniczył zawsze ludzkości na drodze postępu, i że po wszystkie czasy sam po niej kroczył. Uznaję, że w biegu czasów rozmaicie w tej mierze bywało — i że na tem polu zdarzały się w życiu Kościoła różne oscylacje. O kwestyę bardziej zasadniczą mi w tej chwili chodzi, a mianowicie o uzasadnienie tej prawdy, że w wierze i w religii chrześcijańskiej spoczywa najistotniejszy pierwiastek wszech-postępu, a zarazem najsilniejszy do niego bodziec — o czem ludzie dla braku gruntownej oświaty często zapominają... a o czem ludzie złej woli ani wiedzieć nie chcą!...

W znamiennem słowie twórczem Boga do człowieka: „Rośnijcie i rozmnażajcie się, i napełniajcie wszystką ziemię i czyńcie ją sobie poddaną“ (Gen. I. 27 — 28) czyż nie streszcza się silny impuls do postępu?... obowiązek rozwijania w sobie wszelkich uzdolnień, i zdobywania wszech-wiedzy, którą byśmy wszystką ziemię uczynili sobie poddaną?

Zakreśliwszy ludziom tak szczytne powołanie, dążenia do coraz doskonalszego, Stwórca urobił odpowiednio serce człowieka, i wlał w nie nieprzepartą żądzę postępu, która tak dalece to serce rozpiera, że wystarcza wymówić to czarujące słowo, aby je zniewolić i wzbudzić w niem zapal niezwykły. Młodzież w sposób osobliwy zdradza to usposobienie.

Rzecz wszakże osobliwa się stała. Choć pierwiastek wszech-postępu tkwi jak to wykazałam, w Bożej zasadzie i z Bożego źródła płynie, postęp przecież stał się dziś jakoby monopolem ludzi, którzy z wiarą w Boga zerwali.

Co więcej, ludzie rozszczepili się na dwa skrajne obozy: wierzących, i niewierzących,—wierzący uchwycili się hasła konserwatyzmu, a szlachetna idea postępu przeszła przeważnie w ręce tych, którzy w Boga nie wierzą.

Czemu tak się stało?... rozbierać tego dziś nie będę, zastanowię się tylko nad wynikiem tego niesprawiedliwego podziału, bo w tem tkwi dla nas żywotna aktualność.

„Przyłóżcie się do tego — mawiał Bismark, abyście uczynili z religii katolickiej smętnego *puszczyka*, a tem samem prędzej go zwalczycie, aniżeli wszelkimi innymi środkami, jakimi byście rozporządzali“.

Mądre to słowo kanclerza zawiera dla nas nie jedną naukę i wskazówkę.

I cóż zdolnem jest, pytam, uczynić z religii owego ptaka nocy, śmiesznego i znienawidzonego?

Oto piętno zacofania i zastoju jakim go ludzie znaczą. Dziś bowiem mówią rzeczy tak dziwne o religii!!!...

Mówią: że religia jest obecnie już tylko martwym szablonem, czczą formą, resztką fanatyzmu średniowiecznego, a w świetle najnowszej wiedzy jest stekiem zabobonów, symbolem obskurantyzmu, dobrą dla uczuciowych kobiet, lub dla nieoświe-

conego tłumy, że jest anachronizmem dla sfer inteligentnych!...

I mówią jeszcze: że religia,—jako krępująca samodzielność myśli,—żadną miarą z postępem pogodzić się nie może, a że wiara ogłupia, że z tej racji żaden człowiek nauki wierzącym być nie może... i t. p.... i t. p.

Ale powtarzać już tego nie będę cokolwiek ludzie *rzekomego postępu* mówią i piszą o religii, o wierze i Kościele,... bo któż tego nie słyszał?

Chciałam tylko stwierdzić fakt, że nieprzyjaciele chrystyanizmu, idąc za wskazówką niemieckiego kanclerza, dopięli poniekąd swego celu, tem, że przedstawiając religię, jako wrogą wszelkiemu postępowi, *w opinii większości uczynili z niej „nienawidzonego puszczyka“*, przeżytek, z którym liczyć się już nawet nie trzeba...

Niepodobna przeszkodzić ludziom mówić, cokolwiek im się spodoba, zarówno jak niepodobna wiatru powstrzymać na polu, wszakże czy nie należałoby tu, słowem i czynem *silny protest położyć*, i przekonać ludzi dobrej woli, że ich w błąd wprowadzono?

Czy nie należałoby dowieść, że bez Bożego pierwiastku niema, i być nie może prawdziwego postępu... że postęp bez Boga jest ułudą, fajerwerkiem... że nadewszystko jest jednostronny, zdolny najwyżej rozszerzyć granice wiedzy doświadczalnej, udoskonalić warunki bytu a zarazem narzędzia mordercze... a że nie jest w jego mocy dopiąć najistotniejszego zadania postępu:—*umoral-*

nienia i uszczęśliwienia człowieka? Czyż nie należałoby dowieść, że właśnie w wierze chrześcijańskiej jest nigdy nie wysychające źródło wszechpostępu i najwyższego rozwoju?

Widząc zaś spustoszenie, jakie sprawia w dzieństwie Chrystusowem panująca powszechnie opinia o zastoju panującym na łonie Kościoła katolickiego, czy nie należałoby, aby młodzież wierząca, już raz *odebrała bezwyznaniowcom monopol hasła postępu*, tak niesłusznie przez nich przywłaszczony i sama *silną dłoń choraągiew postępu uchwyciła?*

II.

Zauważyć tu wypada, że w zrozumieniu idei postępu niektórzy z liczby wierzących znamienne popełniają pomyłkę, brzemienneą w najgorsze następstwa dla sprawy religii, a mianowicie tę, że z obowiązku postępu czynią *jedynie* powinność dążenia do ascetycznej doskonałości, czem niemiłosiernie myśl Bożą zacieśniają. *Kaleczą ją po niekąd.*

Że takie zacieśnianie nie leży w myśli Bożej, łatwo udowodnić tem, że wszakże Chrystus kazał nam być doskonałymi jak Ojciec niebieski doskonałym jest, a Bóg przecież jest doskonałym nie tylko w świętości, dobroci i miłosierdziu, ale także w mądrości, sprawiedliwości, w pięknie... A czyż nie na obraz i podobieństwo Boże jesteśmy stworzeni?

Dla czegoż więc mielibyśmy się kształcić *jedynie* w kierunku wewnętrznego udoskonalenia? To czynimy, ale tamtego nie zaniedbujemy.

Prawdą jest zatem, że wszechstronnego i ustawicznego postępu Chrystus od nas wymaga, postępu, w miarę uzdolnienia, jakim nas Stwórca obdarzył, obowiązków, jakie nam zlecił. Wymaga więc postępu w zdobywaniu i rozszerzaniu wiedzy, w uprawianiu piękna, wymaga postępu w krzewieniu cywilizacyi, a więc w przemyśle, handlu, w akcji społecznej, w udoskonaleniu tworów przyrody i użytkowaniu takowych. Ten postęp jest także postępem, leżącym w zamiarach twórczych, a powierzonym ludzkiej inicjatywie: a choć postęp osobisty, duchowy w *pierwszym rzędzie człowieka zawsze obowiązuje*, przecież ograniczać się na nim nikomu nie wolno, chyba tylko drogą wyjątku.

W tem zaś dopatrzeć można osobiłą przyczynę coraz bardziej szerzącego, się poganizmu na arenie świata, że wielu chrześcijan, nie rządząc się powyższym poglądem, zacieśnia pojęcie doskonałości i zaniedbuje postęp w szerszym zakresie. Stąd ten postęp, *zaniedbany przez wiernych, przechodzi w wielkiej mierze w ręce tych, którzy Boga nie znają.*

III.

Przeciwko niewłaściwości ciasnego pojmowania postępu podnoszą się coraz liczniejsze głosy na łonie naszego Kościoła. Pięknie przemawia

w tej mierze Arcybiskup Bilczewski w swym liście do młodzieży, pod datą 17 Marca roku bieżącego.

„Prawdziwy katolik—pisze on—to tem samem człowiek najbardziej postępowy, w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu, który ani miłością nauki i sztuki, ani pojęciem honoru, ani wiernością ojczyźnie i swojemu zawodowi, ani sposobem życia, sumiennością i taktem nikomu się nie da przewyższąć“.

Arcybiskup zaś Amerykański z S-Paul, Ireland, przemawia do swoich owieczek, jak następuje:

„Pośród katolików—pisze on—istnieją trzy rodzaje umysłów. Jedni, przejęci wielkością czasów minionych pragną wskrzeszać ich formy i działania, *a nie liczą się z ciągłą zmianą warunków życia* i powszechnym postępem, jakim świat kroczy w swej życiowej ewolucyi; drudzy uważają, że spełnili swój obowiązek, gdy modlą się i sprawują dobre uczynki; trzeci wreszcie szukają dróg *najodpowiedniejszych* do okoliczności, *metod najlepiej zastosowanych* do panujących usposobień serc i umysłów, a to w celu szerzenia działalności Kościoła, i szerzeniu jego wpływów.

Pierwsi stanowią już mniejszość. Są to umysły ciasne... chciałyby nagiąć do formułek i niezłomnych aksjomatów społeczeństwo z natury swej zmienne. Są to politycy nieudolni i niebezpieczni, zwolennicy systemów zużytych, i strupieszających instytucyi społecznych.

Druga grupa składa się z szerokiej masy wiernych konserwatystów z *nawyknięcia*, spokojnych przez fałszywą pokorę, bojących się ruchu, walki, *bez których jednak niema życia*. W dniach jedności, gdy dusze rozkwitają pod panowaniem Ewangelii, taka bierna wiara i takie stanowisko wystarczają poniekąd.

Lecz gdy węzeł religijnego posłuszeństwa zerwany, gdy sprzeczność poglądów i wierzeń wnosi rozterkę do ogólnoludzkiej rodziny, gdy Kościół musi swych praw Boskich dochodzić i spełniać swe posłannictwo wśród zatargów, wicherzeń i sporów publicznych, taka metoda odpowiadać już nie może potrzebom i okolicznościom.

Zdobywać serca i poniekąd umysły, wlewać miłość dla Chrystusa w dusze, stworzyć wśród nich jedyny łącznik zdolny zbliżyć z sobą pojedyncze społeczeństwa w ogólną ludzką rodzinę, *zespolic ją w jedno*, co zawsze bywało ideałem chrześcijan: „Ojczemój spraw, aby byli jedno, ako my jedno jesteśmy!“ ...nieustannie wszczepiać ducha Ewangelii w życie indywidualne i zbiorowe w *języku dostępnym dla naszego otoczenia i drogami*, które nam otwiera Opatrzność, *opanowywać wszystkie arterye społeczeństwa*, aby nieść mu usługi i budzić miłość bliźniego... pomnażać drogi i sposoby porozumienia na wszelkich polach: społecznem, filozoficznem, literackiem, naukowem, artystycznym, przez wyznanie i pełnienie katolicyzmu jawnie i odważnie... dowieść opinii publicznej teorią i faktami, że Kościół,

dzięki swemu dogmatowi, duchowi swych tradycji, hierarchicznej budowli swego organizmu, władzy nieomyłnej swej Głowy, jest jedynym źródłem pełnego i kompletnego życia, działalności prawdziwie płodnej i uszczęśliwiającej i jedynym skutecznym *czynnikiem postępu*, że dalekim będąc od zamykania się w pewnym momencie historycznym, lub pewnej fazie naukowej, Kościół utrzymuje stałą łączność ze wszystkimi kierownikami myśli i działalności ludzkiej, że jedynie Kościół, uznając wszystkich ludzi zarówno dziećmi Bożymi, położył istotną podwalinę braterstwa ludzi, i w papieństwie nadał widomą oznakę Boskiego ojcostwa: wreszcie, że Kościół, reprezentując absolutyzm Boski winien walczyć przeciwko wszelkim roszczeniom absolutyzmu ludzkiego, i że tem samem, z natury swej i powołania jest opiekunem rozwoju indywidualności jednostek, jest wybawcą z pod wszelkiej przemocy, osłoną przeciwko wszelkiemu uciskowi...

Takiemi okazywały się dążności wszelkich wielkich Papieży: Grzegorza VII, Inocentego III, Sykstusa V.

Taką jest myśl przewodnia, w czyn wprowadzona przez Papieża Leona XIII, który przemawia i działa jako wspólny ojciec Kościoła powszechnego, ludzkość ogarniającego. Jego pieczołowitość rozciąga się na wszystkich ludzi, jego troska obejmuje wszelkie sprawy ludzkości.

Naszemu społeczeństwu, spragnionemu światła, otwiera On doktrynami swemi skarby życia

katolickiego, a dzieła jego pontyfikatu dają ludziom możność używania tych skarbów.

O skuteczności tej metody świadczy najwymowniej cześć jakiej doznaje, nie tylko od prostaczków, ale i od wybrańców.

Leon XIII jest konserwatystą o tyle, że wyznaje i głosi niewzruszoność zasad wiekuistych, a reformatorem o tyle, że umie zastosować do potrzeb nowych zasady sprawiedliwości.

„Nieszczęście nasze, nieszczęście katolików wszechświata tkwi w tem—pisze ks. Lipke w cennej swej pracy: „Nowe prądy, i ideały współczesne”—iż wszędzie i zawsze wyprzedzać się dają, nie z braku wiary, *lecz z nadmiaru ostrożności!*“

Do głosów myślicieli doby obecnej, pozwolę sobie dorzucić głos dawny, bardzo dawny, słynnego mędrca starożytności, który już na 500 lat przed Chrystusem nawoływał współczesnych do postępu. Gdy w roku 517 Konfucyusz przybył do stolicy państwa, pomimo, że wielka była sława jego uczoności i doskonałości, głównym jego celem było zobaczyć się z Lao-tsem i wy badać go w sprawie starych obyczajów i ceremonii. Rozmowa obu myślicieli określa tak wybornie ich stanowiska i zapatrywania, że warto się jej przysłuchać. Gdy Konfucyusz popisywał się ciągle zdaniem dawnych mędrców, odpowiedział mu na to Lao-tse:

„Mężowie, o których mówisz, dawno pomarli, kości ich spróchniały, a tylko słowa pozostały. Mogły one być stosowne do owych czasów, *czasy*

jednak nie stoją, a my z nimi, musimy więc *stosować się* do nich z naszymi poglądami. Jeśli nasze własne zapatrywania są na dobie, to głosmy je, i bądźmy ludziom użyteczni, jeśli zaś czasy są burzliwe, a my naszych zapatrywań przeprowadzić nie możemy, wówczas milczmy. Mądry, gdy utrafi właściwą porę wówczas idzie w górę, jeśli nie utrafi, to żyje jak stepowa roślina...”

Nie chodzi tu oczywiście aby nie mieć w wielkiej cenie dawnych mędrców, na nich się nie kształcić, i nigdy na nich się nie powoływać, ale o to tylko aby *nie stać jedynie* na tem, co poprzednicy mówili, ale na nich się opierając, aby iść dalej, do *absolutu* prawdy, dobra i piękna, i w tem źródle szukać mądrości, nie zaś jedynie u dawnych mędrców.

Ta jest droga postępu.

Powyższe cytaty są tak jasne i przekonywujące, a program zakresłony przez dostojników naszego Kościoła tak wspaniały, że komentarza nie potrzebują. Jedną wszakże uwagę pozwolę tu sobie dorzucić na zakończenie.

Sądzę, że, w sprawie wyżej omawianej pewien błąd kapitalny zwykle popełniamy w naszym obozie wierzących, a mianowicie ten, że wchodząc poniekąd w myśl bezwyznaniowców, zowiemy ich *postępowcami*, jakobyśmy im bezwzględne prawo do tego miana przyznawali, a tem samem sami z niego kapitulowali, czem stawiamy siebie oraz ich w najfatalniejszym świetle.

Prawda, że czynimy to z sarkazmem, ale tem gorzej!

Bo czyż broń ironii i sarkazmu przystoi uczniom Chrystusa, który nadewszystko miłość zalecił?

Zmienmy więc pogląd i mowę naszą, a za hasło weźmy sobie „*naprzód*“, które się nam ze wszech miar należy, a zobaczymy, czy to słowo nie więcej zjedna nam współczesnych, aniżeli inne wysiłki.

Niezbędnym, co prawda, jest konserwatyzm, bo to, co stanowi podwalinę, trwać musi: duchem wszakże Chrystyanizmu,—zaznaczam to raz jeszcze—nie jest tyle konserwatyzm, ile *życie i rozwój* i dla tego właśnie, że my katolicy skłonni jesteśmy o tem zapomnieć, i że ulegając po części lenistwu, po części lęklivosti, raczej konserwatyzmu się trzymamy i starej broni z rąk wypuścić nie chcemy, wpadamy łatwo w zastój, czem odstręczamy od siebie najlepsze młode siły. Ach czyż ten nasz konserwatyzm „à outrance“ nie jest właśnie przyczyną braku wpływu na nasze społeczeństwo,—na wiek młody,—który cały raczej ku przyszłości się nachyla, a zatem w każdej sprawie postępu jest żądny?

A nie obawiajmy się, aby droga postępu wywiodła nas na manowce, skoro bowiem na tej drodze trzymać się będziemy Kościoła, bezpieczni jesteśmy.

Owszem ufajmy, albowiem drogę wszelkiego postępu wielki nasz Papież Leon XIII nietylko

nam otworzył, ale utorował i wskazał, abyśmy nią dalej kroczyli.

A czyż Chrystus nie powiedział o sobie: „jestem światłością świata?”

Idźmyż więc za tą światłością,—„ze światłości w światłość, do pełni dnia doskonałego“.

Cecylja Plater Zyberkówna.

Warszawa

26/XI 1906.

Biały, śnieżny całun okrywa ziemię czarną —
gdybyż tak dusze ludzkie ubielić można!...
Jak niegdyś stracone anioły za bunt przeciw Panu
stały się duchami zła i zniszczenia, tak ziemia
nasza musiała być jakąś buntowniczą gwiazdą
w przestworzach i za to jęczy, cierpi, krwią swych
dzieci przesiąka, potem jednych i jadem drugich
zlewana.

Powiedzieli ludzie, że ziemia to matka na-
sza, i powiedzieli — że dzieci tej ziemi są sobie
braćmi... Nieszczęsna to matka, rodząca takie
syny, z których ten największy, co braci najwię-
cej wymordować zdoła, — i ten wielki, co najwię-
cej złota udźwignie, — wielki ten, co po głowach
braci w górę wylezie i ten co się czołgać umie
wężowo.

Ziemió matko! Jeżeliś ty za pychę twoją
miljony takich synów wydała, to już bólu dosyć,
to już może kres twej męki i odrodzenie bliskie. —
Jeżeliś ty matką — przebacz twym dzieciom „bo

nie wiedzą, co czynią“, a z twej męki, z morza
łez i fali cierpień niech inny świat powstanie!
Zaczynij rodzić orły, co na własnych skrzydłach
wznoszą się w wyżyny, sokoły jasne zamiast sę-
pów i kruków, zaczynij rodzić braci bliźnich, co
się własną pracą żywić będą, i kładź w piersi
swych dzieci serca zamiast głązów.

A gdy się tak odradzać będziesz przez syny
twoje, ziemio żywicielko, spłyną na ciebie rosy
niebieskie, ucichną gromy i burze i pozdrowią cię
siostry twoje gwiazdy z błękitnego stropu.

Irena Targowska.

AUTOGRAF „ZDAŃ I UWAG“

ADAMA MICKIEWICZA.

Mickiewicz spędził wiosnę, lato i jesień 1836 r. z żoną i dzieckiem w wiosce Domont, niedaleko Paryża. Słynny rzeźbiarz David d'Angers miał tam domek letni, pustką stojący, a widząc, jak trudno poecie polskiemu wyżyć z rodziną w drogim Paryżu, nakłonił go, jako przyjaciela, do zamieszkania na wsi, gdzieby przynajmniej mieszkanie miał za darmo, a życie bez porównania tańsze.

W owych latach Mickiewicza twórczość osłabła. Gdy natchnienia poetyckiego wśród ciężkich trosk materialnych zabrakło, zwrócił się do prozy, miał zamiar w Domont dalej pracować nad rozpoczętą Historią polską, ale i to przychodziło z trudnością; pisał wtedy do Odyńca 18 lipca 1836 r.

„Ja piszę, albo raczej pisałem Historią, ale na pierwszych rozdziałach zawisłem i stoję na miejscu.

...mnie dokucza drukarnia o skompletowanie tomu ósmego, który jest tylko przedrukiem dawnych rzeczy, ale mi trudno na kilka ćwiartek zdobyć się i druk przez to zatrzymał się i spoczywa“.

Druk tego ósmego tomu doprowadził do końca wielki wielbiciel Mickiewicza, przyjaciel jego i znany na emigracyi księgarz wydawca, Eustachy Januszkiewicz.

Do ósmego tomu weszły wiersze różne, a na samym końcu umieścił Januszkiewicz „Zdania i Uwagi z dzieł Jakóba Bema, Anioła Słazaka i St. Martena“. Na tych-to właśnie „kilka ćwiartek“ trudno się było zdobyć poecie w Domont i o nie właśnie „dokuczała mu drukarnia“. Wreszcie otrzymał je Januszkiewicz, a z wdzięczności dla swej narzeczonej, panny Eugenii Lariss, która oddała ważną przysługę Mickiewiczowi¹, posłał jej autograf „Zdań i Uwag“. Autograf ten przechował się w bibliotece pana Konstantego Popiela, ożenionego z jedyną córką Eust. Januszkiewiczów. Do autografu przyszyty jest list nieznany Mickiewicza; na autografie zaś „Zdań i Uwag“ napisał Eust. Januszkiewicz ciekawe dla nas wyjaśnienie.

List Mickiewicza jest bez daty i brzmi tak:

Szanowny Panie Eustachy. Posyłam maxymy dla zbudowania ciebie i tomiku. Ostrzegam, że werset pod

¹ Ob. dzieło Wład. Mickiewicza: „Żywot Adama Mickiewicza“, Poznań, 1892. Tom II, str. 371.

*tytułem Pax domini ma być drugi z porządku i iść
po wersecie Rzecz zaniedbana a zaś werset pod
tytułem Reszta prawd ma być ostatni*

*Sceny z Don Karlosa w żaden sposób niemogę
i nie warto drukować, bo tchnie duchem luterskim
i uszłaby w całej Tragedyi a odrębnie ma minę satyry
Ja będę w tych dniach w Paryżu i zrobię korektę.*

Twój Adam.

Autograf *Zdań i Uwag* składa się z trzech luźnych arkusików papieru, złożonego w format t. zw. listowy, (21.1 cm. × 13 cm.). Papier jest cienki, bez znaków wodnych, gładki, jasno-zielonkawy. Wersety: „Dwa Światy“ i „Majestat dusz naszych“, będące na końcu autografu, ktoś wyciął, widocznie na prezent, tak że z ostatniej kartki u góry brak papieru (6 cm. × 12.5 cm.). Reszta dochowanej ostatniej kartki jest niezapisana.

Arkusiki są ponumerowane przez Mickiewicza. Na pierwszej stronicy dał poeta tytuł:

Zdania i uwagi z dzieł Jakuba Bema, Anioła Ślaza, ka (Angelus Silesius) i Sę-Martena.

Resztę stronicy wypełnił Eustachy Januszkiewicz następującą wiadomością:

„Wiersze te umieszczone zostały w ósmym tomie poezyi Adama Mickiewicza (wydania paryzkiego). Druk tego tomu rozpoczęty we wrześniu 1835, zaledwie dzisiaj dnia 20 października 1836 ukończony został. Czekano na przysłanie z Drezna tłumaczenia części Fausta Göthego, ale rękopis zostawiony u Tedwera, po jego śmierci z innemi papierami opieczętowany został.

W tych 8-miu tomach znajdują się wszystkie poezye Adama, gdziekolwiek drukowane, wyjąwszy sceny z Don Carlosa, na której umieszczenie nie zgodził się. Czego w nich niema to dowód że nie jest pióra Adama.

Ostrzeżenie to posyłam z manuskrytem do biblioteki Eugenii. Paryż 20 Października 1836.
17 Marais St. Germain.

Autograf *Zdań i Uwag* jest widocznie pierwszym rzutem (brulionem); poprawek jest niewiele, ale trafiają się całe zdania przekreślone i zmienione (Np. „Czas“, „Podpisy“ (przekreślone), „Sen“, „Zdrada“, „Filozofy i Bóg Emigrant“, „Własność jest nędzą“, „Rusztowanie“). Nieznaczące warianty będą na innem miejscu uwzględnione. Wogóle autograf mało odbiega od tekstu drukowanego.

Najciekawsze są dołączone do autografu: nieznaný list Mickiewicza i wyjaśnienie Januszkiewicza, które powyżej podałem.

W końcu składam podziękowanie Panu Konstantemu Popielowi za łaskawe udzielenie mi tych autografów.

Józef Kallenbach.

w Ławowie, dnia 7 marca 1907 r. .

ŚWIECZNICA.

[U]milkł huk burzy rozszalałej ponad głowami
ludu polskiego i nastała jakby cisza. Ale
czemu po burzy tak ciemno, tak bardzo ciemno?...

Co to? czy świta?...

Mówią, że jakaś wielka „Świetlnica“ roz-
proszyła światel krocie...

Tyle dobra, tyle piękna po promykach z świa-
teł płynie, a to światło niesie brat.

Dawniej ciemny, dzisiaj widzę niebotyczne
szczyty skał i te morza, wody duże, co zraszają
cały świat. I to życie utajone, co w przestworzu
i na ziemi wiedzie cichy zwierząt ród. O, i kwie-
cie naszej ziemi znam ja dzisiaj, dobrze znam.

Ale... czemu światła mało, gdy spojrzałem
w duszę brata? On, co światło ku mnie zbliża...
taki ciemny, taki ciemny?... Ach, rozumiem dzi-

siaj ciebie—ty oddajesz dług przeszłości: martwy
dzierżysz światło w dłoni.

Nie! tyś nie martwy—aleś zimny, bo ty światła
dzierżysz mało... bo ty ognia nie masz w sobie.

Rozpal, bracie, duszę twoją! Rzucaj z serca
iskier krocie w milionowe serce ludu! A gdy ca-
ła Polska ziemia krzyknie: gore! gore! gore! ty
w tym wielkim ogniu Polski nie powrotnie już
zatracisz serca twego dziwny chłód!

Józefa Żukowska.

O RYCERZU MIŁUJĄCYM.

LEGENDA Z PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

Słońce spłynęło za ciemną ścianę świerków, stado sarn biegło po zielonem błoni, szczebiot ptaków ustawał i zbliżała się ku nam wielka cisza letniego wieczoru i usypiającego lasu, gdy z różową smugą zachodu, na włosach od starości srebrnych, chłop, Budnik prawie stuletni, zwiędłemi usty powtarzał mi opowieść z ust swych pradziadów przejętą.

„Bywają na świecie ludzie nader silni, od wszelakiego złego silniejsi, którzy, choćby największa przeszkoda na drodze ich stanęła, jak piórko z drogi ją zmiotą, taka w nich moc!

Jaka to moc? Zkąd w nich ta moc? Zgadnijcie? Nie zgadujecie? Słuchajcie tedy; opowiem.

W tej oto puszczy było raz zdarzenie takie: leżał pośród drogi, którą ludzie chadzali, jeździli,

kamień takiej wielkości okrutnej, że ani przejść, ani przejechać bezpiecznie nikomu nijak nie dawał. Jednym się o niego u wozów koła potrzaskały, inși przez niego doświadczyli upadków śmiertelnych, inși jeszcze zdaleka objeżdżać go musieli, co im trudności różnych dodawało. Ile od tego głazu poszło po ludziach frasunków, zgryzot i utrat — nie zliczyć!

Zkąd wziął się głaz ten srogi? Niewiadomo. Ziemia go pewnie sama z wnętrzości swoich na utrapienie człowieka wydała, boć wszyscy wiedzą, że karmicielką będąc, podczas i trapiicielką diatwy swej umie ona być, i ku trapieniu ich potwory srogie wydawać z siebie... o! umie!

Ale przebrała się ludzka cierpliwość, kto żyw do kupy zbiegł się i hejże! spólnemi siłami przeciw spólnemu nieprzyjacielowi!

Jako gałęzie przestępu dokoła pnia dębowego, tak ramiona co najsilniejsze dokoła głazu się opłoty i hej! ho! w górę go! Silniej! wyżej! Jeszcze raz, jeszcze, jeszcze drugi raz, i dziesiąty, i setny!

Nic. Jak tkwił, tak tkwi w ziemi twardej, z pośród mchu brunatnego co go obrasta, białe zęby wyszczerzając — z pośmiewiskiem!

Tedy stanęli ludzie biedni w zasnuceniu wielkiem, ręce poopuszczali i milczacość ducha na nich spadła. Nic nie mówią, nic nie zamierzają; zęby tylko ścisnęli i myślą: nie nasza moc! A wiadomo, że kto tak przed oblicznością nieprzyjaciela swego pomyśli — zginął, bo nijakiej obrony już z siebie nie wydobędzie!

Wtem, widzą, ktoś ciś na koniu drogą nadjeżdża, a że droga leśną była, tedy co wybłyśnie z pośród drzew promień słoneczny, to mu w hełmie wysokim niby gwiazdę złotą, niby djament tęczą świecący zapali.

Pan, nie Pan; rycerz, nie rycerz. Chyba rycerz, bo hełm ma na głowie i odzież gdzieniegdzie od stali pobłyskującą. Oblicze zaś rycerza jaśniało od takiej dobroci anielskiej, albo niebieskiej, że gdy przybliżył się i konia powstrzymał, ludzie, ufność wielką ku niemu poczuwszy, wnet mu o biedzie swej rozpowiadać poczęli, a narzekać rozprowadając.

— Tak i tak, Jaśnie Wielmożny Panie, — rozprowadają, — takie i takie zdarzyło się nam nieszcześnie!

Patrzą, a rycerz z konia zsiadać zamierza.

— Ja wam, mówi, kamień ten z drogi odrzuć.

Oni na to z podziwieniem.

— Gdzieżby Jaśnie Wielmożny Pan dla nas taką fatygę ponosił!

A on im na to z uśmiechem cudnym.

— Dla tego jestem na ten świat posłany, aby cierpiącym i ukrzywdzonym służyć!

Oni na to z wątpliwością.

— Nie przemoże głazu tego siła największa!

A on znów z oczyma błyszczącymi jako gwiazdy.

— Moja przemoże, bo czerpię ją z miłującego serca.

Tu głaz okrutny rękoma opasał, wstrząsnął nim tak, że aż mu oblicze zalało się potem rześnistym i z ziemi go wyrwawszy, w las daleko odrzucił. Stęknęła tylko ziemia, a powietrze zagrzmiało od runięcia głazu na świerki i sosny, które łamały się pod nim z trzaskiem niewypowiedzianym.

I ucichło. Droga przed ludźmi leżała równa, gładka, a po twarzach ludzkich skrzydło anielskie pisało litery radości.

Rycerz zaś znowu na koń wsiadł i pięknie ukloniwszy się, pojechał dalej cierpiących ratować i ukrzywdzonym służyć.

Silnyż był, silny! Mocy miał w sobie więcej jak cała gromada ludzi innych. A zkad w nim się brała ta olbrzymowa moc?

Z serca miłującego, mówił.

Ot, w sercu to miłującym, widać, tkwi ta moc olbrzymowa, która zło, by największe przemódz zdoła.

Dajże nam tedy, o Boże, który z wysokości na tę puszcze naszą patrzysz i te kamienie pośród niej sterczące, i te sidła pośród niej zastawione, i te ciemności pośród niej rozciągnięte — widzisz, dajże nam jaknajwięcej serc napęlnionych olbrzymową mocą miłowania, dajże nam jaknajwięcej rycerzy miłujących i dla tego na świat ten posłanych, aby cierpiącym i ukrzywdzonym służyli!“

El. Orzeszkowa.

W STÓP KRZYŻA.

„Czekam na Pana, oczekuje
Go dusza moja; i czeka na sło-
wo Jego.

„Dusza moja wygląda Pana
pilniej, niż straża nocne świtania“.
(*Psalm 129*).

Cicha, ciemna noc.

Przyszła krokiem wolnym, spłynęła skrzy-
dłem lekkim, rozsnuła się urokiem i ciszą dokoła.

Ukołysała ludzkie czoła, bólem umęczone.

Ukołysała ludzkie serca smutkiem palone.

Uśpiła tych, co dźwigali ciężar trosk i prac
przez długi dzień.

Więc śpi Kraków piękny, spokojny, cichy.

Śpią drzewa nad brzegiem Wisły straż trzy-
mające.

Śpią ludzkie radości i smutki, ludzkie nadzie-
je i zawody.

Ale nie śpi czas. On wiecznie idzie naprzód
i wiecznie posuwa życia godziny w tę daleką dro-

gę wieczności, do której my wszyscy płyniemy
i w której istnieć nie przestaniemy.

Cicha, ciemna noc.

Śpią pomęczeni i utrudzeni, śpią spracowani
i zbolali. Słodki lekarz spoczynienia, sen, oto na
ludzkie czoła kładł swe skrzydła i kazał ucichnąć
skargom i smutkom.

Lecz czemuż oto ten lekarz spoczynienia nie
zstąpił do komnaty królowej Jadwigi i czemuż
na jej czoło nie położył swych skrzydeł, by cho-
ciaż na krótką chwilę żal swój ukoić mogła?

Ani cicha, ciemna noc, ani snu lekkie skrzy-
dło spokoju tej biednej dziewczicy nie przyniosły.

Cierpi, walczy, trwoży się.

Ogrom bólu przygniata jej duszę i łamie.

Wielkość apostołstwa na Litwę wzywa
i woła:

— Idź do Chrystusa! brzmia echem ściany
komnaty.

— Idź do Chrystusa! Módl się i błagaj, by
na to wzniosłe, święte posłannictwo apostołstwa
dodał ci siły i odwagi. Idź do Chrystusa, mów,
Mu, do czego cię naród polski wzywa, mów Mu
o sercu, kochającym Wilhelma, mów Mu o co
Cię Litwa błaga... On, który ciężki krzyż całego
świata na swoich niósł ramionach, czyż Ci nie
powie, do czegoś ty wezwana? On, który miło-
wał bez granic i przez tej miłości siłę zbawił na
potępienie skazanych. Czy ci nie powie, czem mi-
łość twoja wobec pogaństwa Litwy?

— Idź do Chrystusa!... Jadwigo!... módl się i błagaj o to, byś nie siebie uszczęśliwiła, ale Litwę!

Więc Jadwiga wstaje z klęcznika, posuwa się zwolna, trwożnie, chwiejąc się i drżąc w osłabieniu po przejściach dni poprzednich.

Śpi zamek Wawelowy. Śpią panny służebne, śpi stara piastunka.

Jadwiga kurytarzami przechodzi z światłem słabem w rękę.

Już blisko kościoła.

Już słysząc głosy modłów odmawianych przez kapłanów, którzy wysławiają Pana nad Pany, czczą Boga, ukrytego w Najśw. Sakramencie.

Już oto wchodzi Jadwiga w progi świątyni. Noc ciemna i cicha dookoła.

Od świateł płonących przy wielkim ołtarzu rzucają się cienie długie, czarne, straszne.

U wysokich sklepień łamie się linia światła, ginie w paszczy ciemności.

Od filarów kamiennych wlecze się czarny pas pod nogi Jadwigi.

Noc późna.

Modły kapłanów, czuwających kolejno, odbijają się cichem echem, cichszym echem odbijają się kroki Jadwigi.

Nikt nie wie, iż ona tu weszła, nikt jej nie widzi, nikt nie słyszy szelestu jej szat królewskich, nikt nie podsłucha jej szeptu u stóp krzyża.

Oto przed Ukrzyżowanym ukłeka, oto ręce podnosi błagalnie, już się modli modlitwą z serca płynącą:

— Jezu Chryste!... Odkupicielu i Zbawicielu Świata! Tyś dźwigał ciężki krzyż, Tyś z cierni koronę nosił na Swem czole, Tyś pił gorycz, wszystkich męczarni! Jezu Chryste! Oto przychodzę do Ciebie i wołam: Zmiłuj się nademną! wszak widzisz głęb mego serca, znasz głęb mej duszy, wiesz, na jakim stoję rozdrożu. Po jednej stronie szczęście moje i dla mnie, po drugiej stronie szczęście Polski i Litwy...

Znowu jej zdaje się, iż Chrystus z krzyża na nią patrzy... tak samo, tak samo, jak rano przy Mszy św. Znowu jej zdaje się, iż Chrystus ją widzi, jak niejedną raz jej się zdawało.

Przejmuje ją straszna trwoga.

Ona nędzna, biedna, spłakana i nieszczęśliwa, a przed nią krzyż i On — Bóg! Odkupiciel!...

— Jezu Chryste! Bądź mi miłosierny, naucz co czynić! Dwie drogi przedemną, albo szczęście moje, albo szczęście obu narodów... czyż zaprzeć się siebie? Zapomnąć o sobie?

Wyciąga błagalnie dłonie, oczy wlepiając w twarz Odkupiciela.

Czy ona śni?

Czy to prawda?...

Chrystus do niej mówi...

Jasność wokoło głowy cierniem ukoronowanej, jasność wokoło czarnego krzyża.

Kapłanów śpiewy ucichły na chwilę.

W wielkiej świątyni rozległa się cisza jakaś uroczysta, wniebobijająca, jak na Podniesienie, jak na tę chwilę, w której zstępuje na ołtarz Baranek Boży, który gładzi grzechy świata.

Jadwiga ze wzniesionemi rękoma, obłana jasnością od krzyża bijącą, szepce błagalnie i pokornie:

— Jezu Chryste!... Czy żadasz odemnie ofiary dla zbawienia ludu, dla przyszłości Polski, dla szczęścia milionów? Czy żadasz, bym siebie oddała, jako ten kłos z pola zżęty, jako to kwiecie, w pączku jeszcze uszczknięte?

Jam nic jeszcze nie poznała z szczęścia krynicy, jam jeszcze nie piła z rozkosznego źródła, jam jeszcze młode ptaszę, które niedaleko od gniazda odlecieć zdoła, a mnie wołają w takie dalekie drogi, a mnie każą brać w ramiona taki ciężki krzyż, obowiązku i poświęcenia znamię... Czy żadasz tego, Chryste, odemnie?...

— Boże! Boże miłosierny!... Co czynisz?... Czym godna tego?... Jezu!... Tyś na mnie spojrział, Tyś mnie wybrał?... Więc mówisz, bym dla Ciebie złożyła ofiarę?...

„Jadwigo święta! Błogosławiona Jolanto!...

„Przybądźcie!... wspomóżcie wnukę waszą!...

„O! Kryste! o! Kryste!...

„I nagle stało się jej tak, jakby nie widziała „i nie czuła już nic. Ogarnął ją wielki szum, „niby fal morskich, a w oczach chwilowe jaskrawe błyski, potem zaś ciemność“...

.

Jak omdlała zsunęła się na ziemię.

Czoło potem złane, oczy łzami zakryte, a serce w uniesieniu i zachwycie...

W około noc i cisza.

.

Królowo! co z Tobą będzie? Omdlała leżeć będziesz przed ołtarzem Ukrzyżowanego i łzy twe będą wpijać się w kamienną posadzkę, a nikogo niema, ktoby cię podźwignął, ktoby rękę podał, ktoby wsparł swem ramieniem?

Królowo! w tej chwili przeżywasz pół życia całego, zapominasz o sobie—dla Chrystusa chcesz się poświęcić i nikt o tem nie wie, nikt nie sły-szy twych modłów: nikt nie wie, co Chrystus mówił do Ciebie?...

Lecz nie! Jest oto ksiądz Wysz. Usłyszał łkanie, stoi od chwili, przyjdzie z pomocą, lecz teraz nie śmie się zbliżyć, nie śmie przerwać cudownego zachwytu i uniesienia.

Słyszeli kapłani, odprawiający modły, słyszeli rozmowę Jadwigi z Chrystusem. W zdziwieniu i zachwycie padli na twarz. Ksiądz Wysz, stał z boku, czuwając ostrożnie.

Jadwiga dźwiga się z ziemi, raz jeszcze podnosi oczy ku Chrystusowi i jeszcze raz pyta:

— Co czynić mam?

A Chrystus rzecze:

— Ratuj Litwę!...

— Bądź wola Twoja, woła Jadwiga i wstaje

silna, stanowcza, opromieniona nieziemską jasnością.

.

Ks. Wysz, zbliża się zwolna.

Jadwiga ujrzawszy Go rzecze:

— Stanie się tak, jak mówiłeś mi nieraz, mój Ojcze!

— Niech będzie Imię Boże uwielbione! Niech się dzieje wola Jego!...

— Bóg chciał i Bóg kazał. Jemu będę posłuszną...

.

Przez ciemne krużganki wraca Jadwiga do swych komnat, a idzie spokojna i mężna, jak Judyt, odniósłszy nad sobą najświeńsze i najtrudniejsze zwycięstwo.

Jakaś moc w nią wstąpiła tak nagle i tak potężnie wsparła jej myśl, duszę i serce, tak ją podniosła i podźwignęła w górę, iż zdaje się jej, nie na tej ziemi ona jest, co była, nie ma przed sobą i nad sobą tych samych trosk i bólów, które ją przedtem gniotły.

Wraca inia, wraca Jadwiga, wezwana do ofiary, wraca dziewica, wybrana na apostołstwo i poświęcenie.

Raz jeszcze klęka do modlitwy i raz jeszcze powtarza:

— Bądź wola Twoja!...

.

A w ślad za tem potężnem słowem, w ślad
za czystą Jadwigi ofiarą idzie odrodzenie Litwy,
milionów zbawienie i unia potężna Orła z Po-
gonią!...¹

W. Bandurski
Biskup-sufragan lwowski.

¹ Rozdział z rozpoczętej opowieści dziejowej p. t.
„Święta królowa“.

POWRÓT DO ROMANTYZMU.

„Wszyscy czujemy — wyraził się 1896 roku w swej *Demokracji katolickiej* ks. Leon Zbyszewski, zastanawiając się nad programem pracy organicznej, który jest owocem rozczerowań epoki popowstaniowej — że trzeba pracy organicznej, ale trzeba czegoś jeszcze co by głębiej sięgało we wnętrzości społeczne, co by wyżej mierzyło i szerzej obejmowało”. *To coś więcej*, to dążność do doskonałości; to wznoszenie się do Boga i jednoczenie się z nim w pełnieniu *Woli Jego*; to miłość Konrada za miliony, kochająca i cierpiąca, a skojarzona z pokornem u ks. Piotra poddaniem się Bogu; to Irydionowe *idź i czyń*, to Anhellego czystość przeobrażona w majestat królewskości duchowej, to „nadezłowieczeństwo” pojęte nie jako siła brutalna, ale jako ofiara: to myśl zasadnicza całej naszej poezji mesyanicznej, która wzniosłszy się na najwyższy, jaki świat widział, szczyt indywidualizmu, pojęła, że tym

szczytem jest oddanie woli swojej i indywidualności Bogu, jest rycerstwo sprawy Bożej.

Słowem owo „coś więcej”, którego żądał ks. Zbyszewski, to praca nad urzeczywistnieniem w sobie tego wzoru wieczystego, który nam dał Chrystus. I spojrzawszy z tego stanowiska na społeczność polską, doszedł był autor *Demokracji katolickiej* do nader pesymistycznych wniosków: nie dostrzegłszy w wykształconych warstwach poważniejszych zasobów moralnych, zwrócił on słowa swoje wyłącznie do kapłanów, ponieważ oni to przede wszystkim „solą ziemi” być powinni. Z całą też z tego powodu świadomością i siłą wkroczył w głębię mistyki i życia nadprzyrodzonego, niejednokrotnie czyniąc zastrzeżenie, że słowa jego są „stultitia Graecis, scandalum Judaeis”, ale „ja piszę — dodawał — dla tych, co wierzą w stworzenie, w upadek, w odkupienie; co wierzą, że Słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami — tu — na ziemi”.

I to jest przyczyną dla czego dzieło ks. Zbyszewskiego, choć głęboko pomyślane i starannie opracowane, nie trafiło do wnętrza społeczności naszej płytkiej a religijnie obojętnej. Tymczasem świadkami jesteśmy wrzenia umysłów, które w poezji dzisiejszej jaskrawy znajduje wyraz i widzimy, że ten ogół znużony tak suchością krytycyzmu epoki powojennej i hasła pracy organicznej, jak też materialistycznym radykalizmem, który wyrósł na tym samym gruncie, zwraca się obecnie w stronę mesyanizmu i szuka

w wieszczach i myślicielach epoki Mickiewicza ukojenia dla swych niejasnych tęsknot.

Jednym z tych umysłów wyniosłych i jasnych, które w epokach smutku i upadku umieją prądem myśli świeżych i skrzydlatych pokrzepiać dusze znużone był Stanisław Szczepanowski. Zwrócenie dzisiejszych pokoleń ku słońcu epoki Mickiewicza wytknąwszy sobie za zadanie, począł w wielkiej poezji mesyanicznej szukać wskazówek dróg ku lepszej przyszłości wiodących.

Myśli jego rzucane w artykułach pisanych naprędce, wśród nawału prac innych, bywają nieraz niedość jasno obrobione, nie mniej jednak zebrane obecnie w pierwszym tomie jego pism stanowią całość, która pociąga polotem i świeżością wiary, niezachwianej zawodami życia.

Punktem wyjścia jest zwątpienie o cywilizacji współczesnej, której „budynek wspaniały—błogie siedlisko szczęścia i spokoju dla uprzywilejowanych, podkopany został przez nurtujące siły podziemne“ ale to zwątpienie o teraźniejszości staje się u Szczepanowskiego podstawą do wiary w przyszłe odrodzenie, w „erę ducha“, której zwiastunem jest nasza wielką poezya mesyaniczna. Jako początek zwrotu w dziejach myśli i ideałów ludzkich oznacza Szczepanowski r. 1832, gdyż w nim wyszły dwa dzieła: II część „Fausta“ „to ostatnie słowo poezji i najwyższy wyraz ducha cywilizacji nowoczesnej z całą jego namiętnością i nienasyconą żądzą wiedzy i rozkoszy“ i III część „Dziadów“, ten wieszcz obraz

przyszłych tryumfów, to antyteza „Fausta“, wprowadzająca na miejsce jego żądy wiedzy i rozko-
szy, żądzę sprawiedliwości i nieśmiertelności, wia-
rę i sumienie, których Faust nie miał. „Mesyanizm
polski—woła autor—zestrzelił dodatnie i twórcze
myśli wieku w jedno ognisko i na piramidzie
wszystkich myśli światowych wzniosła się myśl
polska“, stanowiąca objawienie narodu polskiego.

Ale po 63 roku, przytłoczony ogromem klę-
ski, stracił naród wiarę w moc swoją i w posła-
nictwo i dobrowolnie oddał się w niewolę ducho-
wi obcych narodów i obcych filozofij. Stąd bo-
lesne rozdwojenie wewnątrz. „W każdym polaku
widzę rozdarcie, widzę przepaść między ideałem,
a rzeczywistością, obowiązkiem narodowym, a nie-
poradnością i niemocą; wiele to razy ukazuje
się Polakowi jak Hamletowi duch ojca, wołający
o pomstę za morderstwo, a ten Polak jak Ha-
mlet skarży się na los, który nałożył na niego
brzemień obowiązku, za ciężkie na jego siły, wo-
łałby nie istnieć, chciałby zapomnieć, gdyby tyl-
ko mógł, szuka jak zbawienia tego zapomnienia,
bezmyślności szalu, wszystkiego byleby przyszło
zapomnienie!... A tymczasem mamy niezawodne
lekarstwo na niemoc narodową w wielkiej spuści-
źnie duchowej przeszłości: „posiadamy — woła
autor wracając do myśli ukochanej—niezrównaną
literaturę, nowe objawienie ludzkości i uwielbiamy
ją nawet na wszelkie sposoby, z wyjątkiem jedy-
nego sposobu, którego nasi wieszczowie od nas prze-
dewszystkiem żądają t. j. czynu“.

Słowem objawienie poezji mesyanicznej jest czarownym napojem młodości i odrodzenia, a wielkość jej, zwłaszcza nieśmiertelna wielkość Mickiewicza, jako przewodnika narodu, na tem polega, że on pierwszy pojął i wygłosił, iż nie zbawiają ojczyzny żadne spiski i knowania, żadne programy konserwatywne lub demokratyczne, żadne kombinacye polityczne, a zbawi tylko moralne odrodzenie jednostek „skupiających się w coraz liczniejsze i coraz gorętsze ogniska“, „które prędzej czy później, żarem i płomieniem swoim ogarną cały naród“.

Więc istotę czynu, do którego nawołuje Polska w objawieniu swych wieszczów, stanowić ma przeobrażenie wewnętrzne, duchowe, podstawą jego ma być religja. „Polska — woła Szczepanowski — będzie zawsze katolicką, albo jej nie będzie“... „ktoby tego pewnika nie uznał, musiałby chyba wyjść z potwornego założenia, że społeczeństwo może się rozwijać bez religii, ale temsamem stanąłby on nietylko po za obrębem własnego narodu, lecz też po za obrębem własnego doświadczenia całej ludzkości“. W ten sposób Szczepanowski przemysłowiec z zawodu i pozytywista, wróg wszelkiej metafizyki, a wielbiciel Augusta Comte'a, pragnący całe nauczanie oprzeć wyłącznie na podstawach matematyczno-przyrodniczych, zbliża się tu do mistrza i teologa X. Zbyszewskiego. Ale też należał Szczepanowski do tych wyjątkowych w wieku dzisiejszym natur, w których pesymizm i przyrodoznawstwo, nie za-

chwiały aspiracyj religijnych: „Nie odczuwałem nigdy — opowiada on — sprzeczności wiary i wiedzy”. Z wynikami umiejętności pozytywnych w których upatrywał klucz do poznania przyrody i dziejów, godził on wiarę, którą, uznawał jako prawidło dla ducha. Tylko tę wiarę brał on nie z teologii i nie z katechizmu, ale z prelekcyj Mickiewicza i z „psalmów“ Krasińskiego, wobec których nawet Pismo św. usuwało się gdzieś w cień. Stąd rażący katolika antyteologiczny charakter tej religijności, stąd jej powierzchowność, stąd lekceważenie „Akwinatów i Liguorich“, całej olbrzymiej pracy i wszystkich wielkich natchnień myślicieli i świętych Kościoła stąd niesprawiedliwe wycieczki przeciwko Jezuityzmowi i nieuwzględnienie tego, że skoro się chce pozostać w Kościele, należy umieć godzić się z tem, co w tym kościele jest, więc także z działalnością i dążeniami Jezuitów. Ale te usterki nie wykluczają głębokiego przejęcia się uszlachetniającem działaniem religii: — „Religią dla mnie — mówi on — są wszystkie najgłębsze i najskrytsze sprężyny, które nas wynoszą ponad fatalizm materyi, które nam zakreślają cele najwyższe i dają siłę i natchnienie do cech urzeczywistnienia“.

Lecz patrząc na religię przez pryzmat natchnień mesyanicznych, wygłasza Szczepanowski, że „objawienie narodowe polskie“ wniosło do Kościoła powszechnego ideę ojczyzny, jako świętości i jej posłannictwa w szerzeniu w urzeczywistnieniu myśli Bożej w stosunkach społecznych i politycznych.

W głębi każdego narodu—wyraził się Krasiński—żyje myśl jego posłannictwa, myśl głęboka „co z piersi Boga zesłaniem jest tchnieniem”. Myśl ta drzemać może, może nawet usnąć, lecz wtedy naród mdleje i zapada w martwość. „Ale poruszcie—woła Szczepanowski—ton właściwy, niech się odezwie starodawna pobudka, a obudzi się serce narodu, radrzy i zatętni, jak skrzepły wulkan śniegiem przysypany, i lawą gorącą przeleje się na wszystkie strony”.

I tę myśl uspioną postanawia Szczepanowski obudzić. Wszak ona jedna zrodzi potężne czucie powinności obywatelskiej, wszak „siła duchowa społeczeństwa, jest tylko siłą nagromadzonych obowiązków“, do tego na tysiące głosów nawołują Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Cieszkowski: „poezya ma być Ewangelią życia, jedynym zaś probierzem poezyi, to czyny, do których pobudza. ...Doniosłość jej zależy nie od jej piękna estetycznego, ale od jej siły dynamicznej i elektrycznej, od tego o ile się stała motorem dziejowym narodowym i społecznym“. A w potęgę woli ludzkiej wierzy Szczepanowski całą siłą duszy, jak w nią wierzył Mickiewicz, gdy kreślił „Ode do młodości“, „Farysa“, „Improwizację“. Niczem jest siła cyfr, którą straszą tchórzliwi politycy: „Gdyby historycy mieli trochę wykształcenia przyrodniczego, toby wiedzieli, że miarą skutecznionej pracy jest nie tylko masa, ale i chyżość i że dokonana praca tylko w prostym stosunku zależy od masy, a w kwadratowym od chyżości“. Na takich obli-

czeniuach polega cały postęp nowożytnej artylerji, one też stanowić powinny podstawę „dynamiki historycznej”.—„W tem leży tajemnica wyzwolenia się z pod prawa mas, z pod prawa cyfr“.

Ale ogłoszenie tej zasady nie jest u Szczepanowskiego, jakby się zdawać mogło, nawoływaniem do czynów orężnych. Przeciwnie zastrzegł się on przeciw temu niejednokrotnie i z całym naciskiem. Wszystkie siły skupić należy przede-wszystkiem w pracy wewnętrznej, duchowej, a dopiero potem po dokonaniu tego, więc z duszą, zbrojną w moc ofiary, wstąpić na pole czynu działalności praktycznej i to wyłącznie tej, której podstawą jest wiedza, a owocem ekonomiczne podniesienie kraju—ekonomiczne lecz uzacnione tchnieniem ideału, bo uskutecznione przez tych, co w najlepszych pierwiastkach ducha narodowego, w jego myśli mesyanicznej siłę swą czerpali. *Zgńcie me pieśni, wstańcie siły moje* — te słowa Krasińskiego są pobudką przechodzącą przez natchnienia wszystkich wieszczów naszych tylko nie zrozumieli oni — poprawia Szczepanowski — „że salto mortale z zamiaru do czynu wiedzie właśnie przez to, co oni tak nienawidzili, co tak lekceważyli: przez wiedzę, umiejętność, technikę, przemysł, finanse, przez codzienną pracę, praktyczną pracę, od której żadne napięcie ducha wyzwolić nie potrafi“.

Dążność do doskonałości moralnej i przez nią dokonane przeobrażenie wewnętrzne jako niezbędny początek wszystkiego, a czystość serca wy-

zwolonego od materji i zdolnego do ofiary jako wyraz owej pracy nad sobą—to myśl snująca się jednym ciągiem przez pasmo marzeń Szczepanowskiego o idei polskiej. Jak na polu idei świadczy o sile narodu nie liczba dzieł, lecz głębokość myśli, tak na polu działania również rozstrzyga nie liczba lecz energia. Od ludzi wyższych t. j. z czystem sercem i wolą dobrą zależy odrodzenie społeczeństwa.

W ten sposób w szlachetnej i marzącej duszy Słowianina wyraziła się ta tęsknota do „nadczołowieczeństwa“, która u schyłku wieku zeszłego tak wybitnie zaznaczyła kierunki umysłowe Zachodu, która Niemca Frydryka Nietzsche uniosła po za dobro i zło (*Jenseits des Guten u. Bösen*), poza etykę chrześcijańską, gdzieś w brutalną pychę samoubóstwienia, depcącą wszystko co słabe, która francuza Ernesta Renana pogrążyła w znacznie uszlachetnionem w porównaniu z bezwzględnością niemiecką, lecz bądź co bądź w istocie swej samolubnem poczuciu wyższości własnej i w sybaryckiej beznamiętnej kontemplacyi biegu rzeczy, czyli głupstwa ludzkiego. Urok zaś główny myśli i książki Szczepanowskiego stanowi to, że wierzył on iż ci ludzie serca wyższego, czyższego i woli dobrej już są i że ich będzie coraz więcej.

„Wierzę w to—pisał on—że geniusz i bohaterstwo powstają tylko w dobrej sprawie, choć potem nieraz upadają i ulegają złemu“.

„Wierzę ale umiejętnie udowodnić nie potra-

fię, ani ja ani nikt inny. Ale też przeciwnego twierdzenia nikt mi nie udowodni, dopóki ta księga zamknięta siedmiu pieczęciami, historia ludzkości nie będzie spełniona z biegiem czasów i nie stanie otwartą przy sądzie ostatecznym“.

Pisma Szczepanowskiego nie są ani filozoficzno-społecznemi rozprawami, ani poezją, są czemś pośredniem między jednym a drugim, idący zaś od nich świeży powiew wiary w wewnętrzną moc dobra zawiera w sobie pierwiastki dobroczynne unoszące duszę w sferę pożądań i postanowień idealnych.

M. Zdziechowski.

II ŹRÓDEŁ WISŁY.

Tam, gdzie nasza płowa Wisła bierze swój początek, na Śląsku austriackim, otoczona Beskidami, rozłożyła się na trzymilowej przestrzeni wieś Wisła, od której zapewne królowa rzek naszych wzięła nazwę swoją. Wisła jest największą ze wsi śląskich, liczy bowiem przeszło 5 tysięcy mieszkańców. Ma dwa kościoły: katolicki i ewangelicki, pięć szkół ludowych, straż ogniową ochotniczą, pocztę, zakład hydropatyczny, hotel i t. p.

Ludność Wisły czysto polska, lecz przeważnie ewangelicka. Załedwie bowiem kilkanaście rodzin należy do Kościoła katolickiego. Pomiedzy wyznawcami jednej i drugiej religii panuje najzupełniejsza zgoda i harmonia do tego stopnia, że ewangelicy np. obchodzą święta katolickie. We wsi nie znajdzie analfabety. Lud spokojny, łagodny i uczciwy. Może trochę apatyczny i mało przedsiębiorczy. Do ziemi swej nadzwyczaj przywiązany, wskutek czego obcemu przyby-

szowi niezmiernie trudno nabyć w Wiśle kawałek ziemi. W ostatnich latach do Wisły zaczęli się zjeżdżać letnicy i chociaż napływ gości przynosi mieszkańcom korzyść materialną, ludność miejscowa jednak niechętnie patrzy na przybyszów, być może instyktownie przeczuwając, że ta inwazyja letników na dobre jej nie wyjdzie. Nie ulega wątpliwości, że górale zakopiańscy przez ogromny napływ obcych przybyszów, dużo utracili ze swej pierwotnej prostoty i uczciwości. Wiśłacy tedy instyktownie bronią się, aby nie ulegli podobnym wpływom demoralizującym. Po między nimi prowadzi się podobno agitacja, aby nie stawiać domów dla letników i nie sprzedawać parceli, na których ci mogliby budować dla siebie domy. Z tego powodu, pomimo przyjaznych warunków klimatycznych, Wisła prawdopodobnie nigdy nie stanie się miejscem tak licznie uczęszczanem, jak np. Zakopane.

Utrzymują niektórzy, że ślązacy austriaccy pod względem narodowym są mało uświadomieni. Zdanie to, odnośnie do wiślan, wydaje się bezzasadnem. Na trzymilowej przestrzeni Wisły, po górach i dolinach, od rana do nocy, rozbrzmiewa rzewna melodia pieśni p. t. „Wisła“, której tekst dosłowny jest następujący:

„Wisło moja, Wisło stara,
„Zkąd tak smutno płyniesz,
„Zkąd tej wody nazbierałaś?
„Mów, nim w morzu zginiesz!

„Nazbierałaś sinej wody
„Na Karpackich górach
„I na Rusi, na kochanej,
„I w Krakusa murach.

„Krakowianka łzą obłana
„Rzuciła mi wianki,
„Potem strumień łez męczeński
„Łały Warszawianki.

„I tak płynę dniem i nocą,
„Wkoło mnie tak smutno;
„Dawniej śpiewy brzmiały ciągle,
„A dziś... tak okrutno“.

Treść tej rzewnej pieśni, nawskroś polskiej,
z podkładem wybitnie patryotycznym, niewątpli-
wie świadczy, że nie serdeczna łączy lud śląski
z dawną wspólną ojczyzną naszą.

I. Pawiński.

Z ROZMYŚLAŃ O SZCZĘŚCIU.

...**K**toś porównał duszę ludzką do wielkiej, ciemnej kuli, na powierzchni której znajduje się jeden punkcik jasno świecący. Tym punktem jasnym jest „świadomość“, wiedza o sobie samym, a tą ciemną, ogromną kulą są tak zwane „bezświadome“ procesy duchowe, które ciągle trwają, ciągle rozwijają się, pomimo że o nich nie wiemy.

Skutkiem owej „nieświadomości“ łudzimy się, że większa część faktów z historyi naszego żywota bezpowrotnie zginęła. Zaś w rzeczy samej ona nie zginęła, tylko skryła się w głębi nieświadomych procesów i dopiero gdy zdarzy się okazyja, umarłe napozór wspomnienia albo wylatują jak stado wesołych ptaków, albo wypełzają niby gady jadowite.

Szczęśliwi ci, których duchowy skarbiec składa się z czystych i jasnych wspomnień; ale biada tym, którzy napełnili duszę swoją grzechami względem siebie czy innych ludzi. Ich szczęście

nigdy nie będzie zupełnem, gdyż wśród najpomysłniejszych warunków zewnętrznych, wśród najgłośniejszych wybuchów radości, może zbudzić się i ukazać złe wspomnienie, jak widmo Banca w czasie uczty makbetowskiej...

.

...Szczęście nie może istnieć bez nieszczęścia, podobnie jak nie może istnieć światło bez cienia, albo dźwięk bez ciszy. A w takim razie szczęścia i nieszczęścia nie można traktować jako dwu wrogich sił, które toczą ze sobą walkę, ale raczej jak dwie dopełniające się barwy, jak dwie harmonizujące ze sobą melodye.

Gdyby istniały tylko wrażenia przyjemne, życie ludzkie przedstawiałoby się jak płaszczyzna jasna, ale nużąca jednostajnością. Lecz gdy obok blasków staną cienie, życie nabiera niby wyżyn i zagłębień, kształtów i charakteru. Nie jest to już gładki step, ale górską okolica, pełna dolin spokoju, tajemnych wąwozów cierpień i porywających szczytów radości.

Bolesław Prus.

GRÓB STANISŁAWA AUGUSTA.

Nigdy może tak wyraźnie przed oczyma duszy nie stanęła mi postać wielkiego mecenasa sztuki i cywilizatora Polski, — a razem mizernego i nieszczęsnego króla, jak kiedy w Czerwcu r. 1906 byłem w Petersburgu. Jest tam dużo po nim pamiątek; dwie przedewszystkiem uderzają fantazję, nasuwają cały łańcuch myśli, wywołują żywo cień Stanisława Augusta, podkreślając niejako przeważne rysy jego portretu duchowego i jego losów: wytworne upodobania człowieka i przejmujący, pełen gorzkich upokorzeń koniec monarchy.

Pierwsza: to zbiór dzieł sztuki graficznej pozostały po królu, a przechowywany obecnie w bibliotece Akademii sztuk pięknych na Wasiliewskim ostrowie.

Zbiór nielada. Obejmuje wielkich tek kilkaset. Każda zawiera od 50 do 300 luźnych kart, od świstka formatu małej 12-ki czy 16-ki, aż do arkusza przeszło metrowej powierzchni. Sam nie-

zbyt wyczerpujący, pisany przed laty, katalog zajmuje dwadzieścia kilka tomów folio. Są w tych tekach szkice i studia dawnych mistrzów włoskich, flamandzkich i holenderskich, rysunki i akwarele malarzy polskich, drzeworyty i sztychy różnych szkół i epok, kolekcya przedstawiająca dzieje i rozwój litografii, dalej widoki różnych miast, zdjęcia architektoniczne pałaców i kościołów z różnych stron kraju, plany wielu miast polskich, widoki zamków i rezydencyj, projekty na setki budowli wykonanych, lub tylko zamierzonych przez króla, czy też przez możnych panów z jego czasów. Znajdujemy tam nieprzebrane materiały do znajomości ruchu artystycznego w drugiej połowie XVIII w., rysunki malarzy, rzeźbiarzy i architektów owoczesnych: Smuglewicza, Fontanny, Merliniego, Komsetreza, Schrögera, Kubickiego, Żeromskiego, Gucewicza, Turskiego, Nowickiego, Plerscha, i wielu wielu innych; rozliczne projekty budowy, lub przebudowy Łazienek, Zamku warszawskiego, Pałacu Saskiego, Ujazdowa, Skierniewic, i t. d.

Gruba teka mieści plany zamierzonej przebudowy pałacu Krasińskich i jego przyległości na placu Krasińskich w Warszawie, z których połączenia zamyślano utworzyć ogromny „Palais de la republique,” mający mieścić salę sejmową i najrozmaitsze urzędy i zbiory publiczne. Jest jedna teka z pomysłami na tron królewski rzucanymi na papier przez różnych polskich i obcych artystów. W innej zebrano różne odmiany na te-

mat olbrzymiego pomnika, który miał jak się zda-
je ozdobić jeden z placów warszawskich, i ob-
wieszczać chwałę monarchy protektora nauki i sztuki.
Miał on nosić nazwę: „Temple des hommes
célèbres“ i w otoczeniu półkolistego portyku z ko-
lumnadą, w pośrodku posągów sławnych ludzi
jako przewodniczącego temu świetnemu zgroma-
dzeniu przedstawiać Stanisława Augusta w wień-
cu wawrzynowym na głowie, siedzącego... na ko-
niu. Czyż to wszystko nie doskonała ilustracja
tego panowania, nie znakomity przyczynek do
charakterystyki mecenasa na tronie, pełnego ar-
tystycznych i kulturalnych dążeń i zachcianek,
wykwintnego smakosza cywilizacji, sybaryty roz-
koszującego się sztuką i naukami, mającego szcze-
rą ambicję podniesienia umysłowego poziomu na-
rodu, ale przytem marzącego o kadzidłach za
życia i po śmierci, rozpieranego próżnością, by
w aureoli sławy przejść do potomności, z lekkim
sercem strojącego sobie stolec królewski godny
francuskiego *roi-soleil* w chwili, kiedy usuwał się
grunt pod jego tronem, pragnącego stawiać so-
bie pomniki pyszne i wiecznotrwałe, kiedy chwia-
ła się ziemia pod nogami i waliły się wiekowe
budowy polityczne i narodowe!

Niepodobna bez bolesnego wzruszenia prze-
glądać tych z wielu względów tak niesłychanie
zajmujących i ważnych tek.

Na setkach, może tysiącach kart własnoręcz-
ne, zwykle francuskie, dopiski królewskie, uwagi
i spostrzeżenia, świadczą, że wszystkie te rysun-

ki przechodziły przez ręce ukoronowanego mecenasa, były przedmiotem jego zastanowienia, nie jeden zaś robiony na wyraźne zamówienie, był tylko ubraniem w szatę plastyczne własnych jego pomysłów. Na projektowanie i krytykowanie gmachów, pomników i tronów miał czas i głowę — nie dziw że brakło mu jednego i drugiego do ratowania i bronienia państwa chwiejącego się w posadach. Materyał w nim był na mistrza ceremonii, na intendenta budynków i zbiorów, na dyrektora muzeum — naczelników państw z innego ciosa się drzewa.

To jedna strona obrazu — drugą daje nam grób jego.

Przy Newskim prospekcie stoi dość szlachetny zresztą, średnio wielki Kościół św. Katarzyny. Przechodzą koło niego codziennie tysiące ludzi. Mało kto z nich wie, a z tych co wiedzą, niewielu myśli i pamięta, że tam pod posadzką leży król polski.

Po prawej stronie nawy głównej, blisko wejścia do zakrystyi, na podłużnej gładkiej czarnej płycie marmurowej, niezbyt znaczny napis, z nowszych czasów podobno, opowiada w krótkich i suchych słowach, czyje kości spoczywają na tem miejscu. Można dziesięć razy przejść po tym kamieniu i nie spostrzedz kilkudziesięciu liter w których mieści się tyle tragicznej treści.

Wejście do grobu znajduje się zewnątrz Kościoła. Otworzono mi zardzewiały zamek drzwi żelaznych. Wszedłem do maleńkiej, nie głęboko

w ziemi utopionej ciemnej piwniczki. Sklepienie jej tak niskie, że zaledwie człowiek wyprostować się może. Ściany gładkie. Na środku stoi trumna drewniana, wysoka jak katafalk, na lwich łapach wzniesiona. Obita jest czarnym aksamitem suto galonami przybranym. Na wieku krzyż z galonu wyszyty. Po bokach przytwierdzone orzełki polskie złotem haftowane, naprzemian z monogramami SAR blachy złoconej, pod koroną królewską. Resztę ozdoby stanowi kilka antab mosiężnych.

Na trumnie tej stoi w głowach druga mała trumienka, raczej skrzynka drewniana czarna ze złoconemi osdobami rzeźbionemi w stylu Ludwika XVI. Napis francuski na przytwierdzonej blaszce świadczy że to kości Stanisława króla polskiego. Ale nie Poniatowskiego. Tradycja objaśnia, iż generał Dąbrowski przywiózł z Nancy palec Stanisława Leszczyńskiego, „dobroczynnego filozofa“ — a ten szczątek później ktoś z rodziny dowódcy legionów umieścił w grobie drugiego Stanisława — ostatniego. Obaj niefortunni, obaj zakończyli żywot na wygnaniu. Pierwszy żywcem się spalił — drugi stokroć nieszczęśliwszy, choć nie wiemy czy tragizm swój odczuwał; jeżeli nie czuł, tembardziej pożałowania godny.

Na trumnie Stanisława Augusta napisu nie ma. Odsunięto górne dno spróchniałego wieka. Przy pomocy kaganka zajrzałem do środka. Teatralny król za życia — po śmierci jeszcze spełnia rolę manekina. Są szaty królewskie: mundur

czy frak złotem szamerowany, owinięty w płaszcz niegdyś purpurowy jedwabny — w głowach Korona jakby z rekwizytów teatru wzięta, metalowa, grubej roboty, niezgrabna, z kabłąkami wysokimi. Tylko że w tych trzymających się jeszcze draperyach, wśród tego blichtru, ciała ludzkiego już prawie niema, a pod Koroną została tylko reszta górnej części czaszki. Chciałoby się zajrzeć w martwe oczy tego, którego wspomnienie tak sprzecznymi uczuciami szarpie serce, chciałoby się z jego rysów twarzy wyczytać, co było w jego duszy i w jego myśli. Nie został, ani nawet cały szkielet. Grób wydaje się nie naruszony. Ale wszystko zniweczyła wilgoć. Woda Newy czasem kilka razy do roku zalewa podziemia Kościoła. Metal i jedwab oparł się jej rozkładowemu działaniu. Nie oparło się ciało, niewytrzymały nawet kości. Czas niekiedy prędko zaciera ślady przeszłości. Wiemy jak wygląda mumia Sezortrysa z przed 3,400 lat — ze stuletniego trupa Stanisława Augusta nic prawie nie zostało.

Koronę do trumny sprawił mu cesarz Paweł, który z zaszczytami monarszymi grzebał zwłoki ostatniego króla polskiego. Berła nie widziałem. Być może, iż już dawniej otwierano trumnę. A może go i nie włożono. Na co do grobu miano dawać berło temu, który za życia koronę jak aktor dźwigał pięknie na głowie, ale berła w rękę wcale dzierżyć nie umiał.

W kącie grobu stoi zalutowane naczynie,

urna metalowa, z wnętrznościami królewskimi, wyjętemi przy balsamowaniu.

Oto wszystko.

Król wielkiego niegdyś państwa, ten co w marzeniach widział się wyrzeźbionym na koniu w otoczeniu wielkich ludzi owej epoki, co myślał, że przejdzie do historyi jako jeden z wielkich monarchów europejskich, jako dobroczyńca narodu, leży daleko na północy, w ciasnym i biednym grobie, w rozlupującej się trumnie, opuszczony, zapomniany. Nikt nie chce zaopiekować się jego szczątkami. Jeżeli kto o nim wspomni, to tylko by mu złorzeczyć. Odmawiają mu nawet tego, czego nie odmawia się żebrakowi: litości—dają co najwyżej politowanie.

Stanisław Tomkowicz.

ZATOPIONY DZWON.

Powiada baśń, że na dnie fal
Spoczywa złotolity dzwon,
Który miłosną tętnił pieśń
W przedwieczny czas — w przestrzenną dal.
Dziś fala głaszy jego ton,
Dziś muł go kryje, rzesną pleśń...

Powiada dalej baśń, że on
Wydarte z łona serce ma,
By nie zajęknął w głębi fal,
Bowiem jęk jego wieszczczy zgon
I rozwichrzeniem burzy drga,
I sieje w duszach gorycz, żal
Od chwili, kiedy strącon w toń
W zamroczną głąb
Słonecznych nie ogląda smug.

.

I niepamięci złudna błoń
Skalisty zrab
I poplątane ścieżki dróg
Przerażeń — smutku mroczny tum
Odrętwień bór i wieczna noc
Nad dzwonem dzierzgą czujną straż...

Powiada baśń, że śmiazków tłum
Skruszyć zakłątą pragnął moc
I nieulekłą mając twarz
Z wiarą w spoistość swoich zbrój
I w ostry miecz
W zakłąty pomrok nocy szedł
I tam, gdzie płynie śmierci zdroj,
Nie chcąc iść wstecz
Z zciszonem licem w ziemię legł.

Tak wieki przeszły, mówi baśń,
Gdzie fala głąszy dzwonu jęk...
Chwilami tylko mewy wzlot,
Której pierś złoci dziw na jaśń
Rwąca się z fal, i jakiś lęk
Jak głowonoga straszny splot,
Co wezajon w zbocz nadbrzeżnych skał
I jakiś tęsknot gorzkich wiew
Jakoby ból tysięcy łon
I fali omroczniałej wał,
A ponad falą dziwny zew
Mówi, że w głębi leży dzwon...

*

*

*

Tak jako fale morz, — są mroczne nędzy fale
Kto mężne serce ma i w głąb się tą zanurzy
I ich ukocha ból, — i otrze łez opale
I wiarę w serce technie, i dolę im rozchmurzy...

Kto, miękką mając dłoń, — pot krwawy otrze z czoła
Który wyłonił znój na pełne smętku lica,
Kto duchów jasnych rój pobudką swą powoła,
Kto myślą nocy mrok targnie, jak błyskawice.

Gdzie ideału świat, rozpali święte ognie,
Kto serce swe bez skaz, jakoby dyamentowe
Dochowa pośród prób — nie złamie się, nie pognie,
Kto wkroczy siać na łąn odrodzeń ziarna zdrowe.

Kto wieszczy, mając duch, proroków znając mowę
Objawień snując nieć — pójdzie po tęsknic łąnie
Po łąnie bólów swych, przed prawdą kłoniąc głowę,
Ten tylko zmoże czar na brzegu morskim stanie...

* * *

Leży bez serca dzwon, na dnie przejrzystej fali,
A nad nią nieba toń rozwiesza swe lazury
I zorza niby ptak, lecący hen z oddali
Odblaskiem swoich piór rozżłaca nikłe chmury...

Leży bez serca dzwon, czekając swojej doli
I dnia, co mękom kres — a światu pieśń wydzwoni
A Sprawiedliwy Pan, otworzy ciemń niewoli,
I dzwon zawiesi znów w pobliżu swojej dłoni.

Leży bez serca dzwon — złocisty — roziskrzony
Na morskich głębin dnie i czeka ciągle, czeka
Kiedyż na stromy brzeg zjawi się wymarzony
Przez wieków długich ciąg — potężny cień człowieka.

Człeka, co zmoże czar, zapory skał przekroczy
I w rozszalały nurt, niepomny swego zgonu,
Śmiało pogrąży się, śpiewając hymn proroczy
A sercem czystym swem uderzy o brzeg dzwonu.

Daniel Paweł Śliwicki.

W Kafarnaum, nad brzegiem Genezareckiego jeziora — siedział Jezus.

Oto niedawno Jan wskazał Go rzeszom, jako „Baranka Bożego“.

Oto wstąpić ma między ludzi, by spełnić posłannictwo swoje.

Oto ma wyjść z ukrycia i ciszy i stanąć wśród świata.

I nauczać, i czynić dobrze, i pocieszać i podnosić upadłe, i otuchę do serc wlewać i olbrzymie pragnienia do dusz, — i kochać, — i miłość swą świadczyć wszystkim, tym co jej warei — i tym szczególniej jeszcze, co jej nie warei, — lecz którzy jej potrzebują.

A potem cierpieć, — umrzeć, — zatonać w otchłaniach boleści.

I iść przez życie — niezrozumianym przez nikogo nawet przez najbliższych i nieukochanym nigdy dosyć przez nikogo i samotnym zawsze.

Jak samotne słońce, co świeci na niebie.

I samotne wschodzi, i samotne świeci, i samotne i smutne zachodzi.

Siedział Jezus.

I blade swe czoło wsparł na rękę białem.

A złote włosy falą świetlaną otoczyły głowę
Jego i z wiatrem igrały wieczornym.

Słońce już zaszło i czerwień wieczorna oblewała wody Genezaretu.

Szeregi palm nadwodnych szemrały cicho.

Świergotało ptactwo przed nocnym spoczynkiem gwarząc o słońcu co zaszło — o nocy co idzie.

I zdala dochodził gwar miasta, wesołość i radosne pieśni i dźwięki muzyki.

Echa radości ludzkich i ludzkiego szczęścia.

A niebo spokojne, ciche i jasne, coraz to liczniejszemi patrzyło gwiazdami i wspanialsze stawało się coraz,—i coraz większego majestatu pełne.

Białe, marmurowe kolumny długimi rzędami ciągnące się opodal wybrzeży i zamyślane szeregi posągów rzymskich, jakby wojska duchów białych stały w uciszeniu głębokiem.

Jakby z uszanowaniem wsłuchane w zadumę Jezusa.

On oczy swe Boskie, czyste jak błękit tego nieba w górze,—spokojne jak kryształ cichych

jezior górskich, — głębokie jak bezmiary przestrzeni, — zwrócił ku falom jeziora — na których blaski krwawe konały zachodu.

A wiatr te fale wzdymał i one szły szemrząc jedna za drugą w dal ciemną by się gdzieś rozbić o skały.

I pieśń tych fal wodnych wznosiła się z głębi jeziora monotonna i smutna, czasem cicha, a czasem głośniejsza—weselsza czasem, a czasem żałośniejsza bardziej,—czasem bardziej jednostajna,—a czasem urozmaicona—jakby nie fal, jakby żywych istot.

I one szły tak u nóg Jezusa—w dal gdzieś nieznaną — by się tam rozbić — by skonać.

I majestat nieba—taki cichy—a jasny, a wielki—tak dziwnie odbijał od wzburzonego morza.

Tam powaga taka i pokój.

A tu szamotanie się—gonitwa za czemś i jęk żałobny, i śpiew smutny — i w końcu rozbić o twardy, skalny brzeg.

Patrzył Jezus.

To morze — to ludzkość.

Te fale — to ludzie pojedynczy.

Oni dążą kędyś — niespokojni, trwożni.

Oni gonią wiecznie.

I tak dni ich płyną na dążeniu.

Aż o brzeg wieczności rozbije się życie.

A wprzód jeszcze prysną marzenia, nadzieje
i złudy.

I smutno im.

To morze to ludzkość.

Te fale — to pokolenia ludzkości.

Płyną one w dal wieków.

A każda pieśń swą śpiewa.

Ideały swe niesie, jasne, blasków pełne.

I za ideałem tym dąży.

A za temi marzeniami goni.

A one gdzieś znikną.

I pokolenie schodzi—jedno za drugim z roz-
goryczeniem i przekleństwem smutku albo zgorz-
knieniem zwątpienia.

To morze to ludzkość.

Niespokojna i nieszczęśliwa.

Spragniona zawsze—a niezaspokojona nigdy.

Goniąca — a ginąca w pogoni.

Mająca nadzieję — a niesięgająca jej.

Złudzeniem szczęśliwa—a skazana na to, że

złudzeniem — złudzeniem się okaże.

Patrzył Jezus.

A przecież tajemnica pokoju tak bliska.

A przecież błękity ciche ciągle ją nam głoszą.
Te błękity spokojne zawsze.

I Jezus tę tajemnicę przypomni światu i duszom, i pokoleniom.

Nie szukać szczęścia — kędyś w nieznanej dali.

Ale w niebo spojrzeć, w to jasne, czyste niebo.
Tam się zapatrzyć.

W tych się lazurach rozkochać.

I niebo odbić na sobie.

Jak w spokojnej fali jeziora.

Tak On przyjdzie do ludzi.

Ze słowami Prawdy i Pokoju.

By serce ich zwrócić — kędy wieczny pokój.

On to im da co ich ukoi.

On im niebo objawi.

I niebieską prawdę.

I niebieską piękność.

I niebieską miłość.

Patrzył Jezus.

A wzdęte fale jeziora — czerwieniły się coraz ciemniejszą czerwinią.

Czerwinią krwi zakrzepłej.

To Jego krew — za szczęście świata.

To krew, którą On odda—byle lepiej odtąd
było ludziom.

Bo miłości większej nikt nie ma ażby duszę
swą oddał za brać swoją.

I krew ta tężała coraz bardziej.

I ciemniała — aż zczerniała zupełnie.

I znikła.

A jednak fale jęczały jak wprzód.

Jęczały nieraz rozpaczniej jeszcze.

I coraz smutniej.

I głosy pieśni z miasta dochodziły jak wprzód
też same, bez zmiany.

I niebo jaśniało cudne, — ale tak samo
zawsze dalekie.

I tak samo ludzkości było nieznane.

I tak mało kto tam chciał się zwrócić.

Ale Jezus pójdzie.

I uczyć będzie,—i kochać będzie i serce swe
szafować tym nawet, co tego niegodni owszem
tym bardziej.

I krwi swej nie pożałuje.

Pójdzie samotny.

I umrze samotny.
I uczyni wszystko dla ludzi.

Bo żal Mu ludzi.
I cierpieć chce z nimi, skoro oni cierpią.

Misereor super turbam.

A. Szech.

GDZIE PRAWDA?

Są ludzie, którzy wobec naszego wierzącego ogółu utrzymują, że zamiast kościołów lepiej budować szkoły, bo—powiadają—modlić się można i pod gołym niebem, a nawet Bóg prędzej takiej modlitwy wysłucha!... Nie mogę *bezwzględnie* odrzucić zdań podobnych... a jednak gdy bliżej się przypatrzę podobnego rodzaju mówcom, jeżeli dokładniej ich zbadam przy różnych okazjach, to przychodzę do tego niezbitego przekonania, że są to *przeważnie* mówcy tylko, ale ściskają kieszeń równie dobrze, gdy chodzi o kościół, jak i o szkołę... Ależ, owi drodzy panowie, zapomnacie liczyć się z faktami!... Lud nasz, ten lud wierzący w Boga, w Bogu szukający pociechy w strapieniach swych, i w Bogu czerpiący nadzieję w nieszczęściach, *on, przeważnie on* klęka

przed figurą męki Pańskiej w szczerem, jak mówi, polu, *on* zdejmuje czapkę i schyla czoło przed każdą świątynią, choćby zdala od niej przechodził, *on* pada na kolana przed Bogiem utajonym, gdy zobaczy księdza, spieszącego do umierających, *on* stroi ołtarze w kwiaty, *on* struże figurki świętych, niezdarne wprowadzie, ale z wiarą, że Bogu służy!... Więc forma, owa forma, nad którą wy przechodziecie do porządku dziennego, którą często uważacie za dowód ciemnoty, a różne „uniwersytety ludowe“ w ten, lub ów sposób podają, tę formę w pogardę, jest zarazem treścią jego życia... To jest fakt, a wy, trzeźwi, przecież z faktami się tylko liczycie,— faktowi temu zaprzeczyć nie jesteście w stanie, ale uznać go nie chcecie, ku istotnej szkodzie naszej skołatanej ojczyzny i wiernego ludu! Dla was i strój narodowy, to arlekinada i miłość ojczyzny, to często ciasnota pojęć, wy międzynarodowi pionierzy!...

Jednakże ty, ludu boży, módl się i pracuj, ty ludu boży czcij i Boga i Matkę Najświętszą, i Wszystkich Świętych, ty, ludu boży stawiaj krzyże, choć ci je burzyć będą twoi najwięksi wrogowie, przy pomocy, często bezwiednej, tych, którzy sądzą, że niosą „oświaty kaganiec“.. Ty módl się, pracuj uczciwie, zabiegaj, ale zawsze wiernie zachowaj „wszystkie dziesięć przykazań bożych“, a zwyciężysz sam, bez obcej pomocy, bo siłą twoją przy pracy „Bóg i Ojczyzna!...“

Mazowszany 10/XII 1906 r.

GDZIE SZCZĘŚCIE?

Umieć podziwiać i chwalić Boga w Jego tworach na ziemi i w Jego cudach we wszechświecie. Do starości zachować świeżość umysłu i ochotę do pracy. Nie być głodnym i źle odzianym. W życiu prywatnem i publicznem dążyć, aby wszyscy zasiąść przy jednym stole mieli możność i ochotę.—Módz i posiadać umiejętność czynienia dobrze, a przedewszystkiem swoim współziomkóm i wszelakiemu biedactwu. Nie zazdrościć nikomu... Oto szczyt szczęścia na ziemi!...

Wł. Siłnicki.

Radom 10/XII 1906 r.

POJEDNANIE!

Na tureckiej galerze, do jednego wiosła przykuci, siedzieli dwaj synowie naszej ziemi. Mijały dnie i tygodnie w pracy nad siły. W nocy chłód kęsał; w dzień palił upał; głód wewnętrzności szarpał, a bat dozorey ranił nagie plecy. Znikąd nadziei, ni ratunku!

Mimo tej wspólnej nędzy serca ich były tak wrogie że, rzecz nie do wiary, radowała ich wzajemna niedola!

I trwało to długo, bardzo długo. Dopiero gdy przepełniła się miara cierpień „zaczęli zwolna kruszeć pod ręką Bożą“. Stopniowo ustępowała nienawiść i niechęć, a nowa siła współczucia i miłości rzuciła ich sobie w ramiona. Poczuli się znów braćmi i dozgonnymi przyjaciółmi.

Tak nam Sienkiewicz przedstawił cudną o panu Muszalskim i Dydiuku opowieść.

Pomimo woli przychodzi nam ona na pamięć, gdy dokoła rozbrzmiewają skargi na nasze dzisiejsze niechęci, niesnaski, ba nawet nienawiści.

Jesteśmy jednej ziemi synami, łączy nas jedna wiara i jedna miłość ojezyny. Cóż za fatalizm nas prześladowe, że takie potężne łączniki nie są w stanie nas pojednać? Czyż długo jeszcze tak w cierpieniu siedzieć będziemy na naszej galerze, odtrącając myśl podania sobie dłoni? Nie traćmy nadziei! Czara naszych cierpień już bardzo pełna. Prośmy Stwórcę, a niedaleki być może czas, gdy pozwoli On nam również: „zacząć zwolna kruszeć pod ręką Bożą.“

Ale prócz proźby, szukajmy dokoła siebie sił nowych, aby nam pomogły w walce z naszą dzisiejszą niezgodą. Szukajmy tych sił wszędzie, a znalazłszy nieśmy je naszym rodakom dla odmiany serc i zbliżenia dłoni po całej ziemi Polskiej.

Oto idzie ku nam wielkie narodowe hasło pracy dla ludu i z ludem. Podejmują dzisiaj ten sztandar wszyscy ludzie dobrej woli bez różnicy przekonań i stronnictw. Niech się ta praca stanie taką siłą nową i nowym narodowym cementem. Nie wydzierajmy sobie ludu wzajemnie z rąk, aby nie powtórzyła się stara prawda o dziecku i wielu niańkach. Pomagajmy sobie w tej pracy wspólnie, mając na celu tylko korzyść ludu, a przez nią korzyść całego narodu.

Pracownicy „dla ludu i z ludem“ pozostaniemy wierni naszym przekonaniom, ale miasto wzajemnej niechęci zdobędziemy wzajemny szacunek, który nas zbliży!

Lud w nagrodę za pracę dla niego przyniesie nam w darze „różdżkę oliwną pojednania“.

On już zaczyna ją nieść w swych słowach. Posel włościanin mówił na zebraniu wyborców do inteligencji: Wy Panowie dzielicie się na różne partye! My Włościanie często nawet nie rozumiemy, o co wam idzie, ale przestrzegamy was, że na nas włościan te wasze niesnaski bardzo źle wpływają. Jeżeli pragniecie dobra ojczyzny, toście się pojednać winni pomiędzy sobą!

O jakże głębokiego zastanowienia godne są te szczere słowa chłopu polskiego!

Oby potomkowie nasi nie potrzebowali kiedyś mówić, żeśmy byli głusi na mądre przestrogi, które nam dzisiaj przez usta ludu niosą sztandar pojednania!

Władysław Jelski.

*Szumsko
7 grudnia.*

FUENGIROLA.

EPIZOD Z WOJEN NAPOLEOŃSKICH

Wiek cały mija od zdarzeń dziejowych, które się złożyły na wielką epopeę napoleońską. Dla uprzytomnienia lub dokładniejszego wyświeatlenia każdej setnej rocznicy pojawiają się dzieła historyków, dla szerszego ogółu na temże tle piszą się powieści lub dramaty — choćby zacytować poczytną powieść „Huragan“, albo dramat „P. Walewska“. I jeszcze długo będą obrabiać ten temat, a takie mnóstwo szczegółów pominiętych lub pobieżnie wspomnianych w historii, dopomina się właściwej oceny — że prawie końca naznaczyć niepodobna.

Ale to już cechą każdej ogólnie ludzkiej sprawy!

Wiadomo jak wielki udział braliśmy w tytanicznych prawdziwie walkach, o ilu jednak bohaterских czynach moglibyśmy jeszcze się dowiedzieć z tych dokumentów, które jako pamiątki rodzinne przechowują się w wielu domach!

Dowodu daleko szukać nie będę bo takowy mam w swojej parafii. Będąc u pp. Os... zauważyłem obraz dobrego pędzla — krajobraz niezwykle — nadmorski — górzysty, jakaś samotna budowla — na przodzie wojsko; rzucić dosyć okiem, a rozeznasz do jakich narodowości należą — pod jakim sztandarem walczą. Uprzejmości gospodarstwa zawdzięczam, że mogę jednym przypomnieć, drugim opowiedzieć o obronie fortu Fuengirola, która świadczy o bohaterstwie i poświęceniu naszych przodków, usiłujących wszędzie i zawsze imieniowi swego narodu przyczynić chwały — ojczyźnie się zasłużyć.

Kiedy francuzi zajęli Hiszpanię, a Anglia oparła się zachciankom Napoleona musieli walczyć na dwa fronty — w kraju zajęтым z mieszkańcami — nad morzem strzedz się Anglików.

Generał Sebastiani komenderujący w królestwie Grenady, czuwać musiał nad tą częścią brzegów Śródziemnego morza, gdzie Anglicy już to w celach handlowych, już dla dostarczenia broni Hiszpanom wylądowywać mogli. O sześć mil od Malagi w okolicy, którą obraz wspomniany wiernie przedstawia, Hiszpanie wybudowali zameczek. Przeznaczeniem jego było ochraniać statki handlowe przed korsarzami — później został opuszczony. Ważność Fuengirola (tak się nazywał ów zameczek), generał francuzki oceniając — polecił kapitanowi Młokosiewiczowi z oddziałem 150 ludzi IV-go regimentu Księstwa Warsz. zająć i jako fort do stanu obronnego przyprowa-

dzie, co też wedle rozkazu 10 paźd. 1810 uskutecznić zaraz się postarał.

Dla utrzymania łączności z centrum wojska, lejtenant Chelmiecki z 60 ludźmi, kwaterował w miasteczku Mijas o dwie mile zaś we wsi Alauvin o 4 mile stał batalion Bronisza.

Zaledwie jako tako urządzono się w forcie, ustawiono cztery armatki, dobrano do nich kanonierów z sierżantem Zakrzewskim, kiedy dnia 14 paźd. ukazała się na morzu eskadra angielska, złożona z dwóch statków liniowych, trzech masztowych i 4 szalupy—nadpływająca od strony Gibraltaru.

Zaraz też spadli z gór powstańcy i zabrali 40 wołów w które się zaprowadził fort Fuen-girola. Narazie dla odzyskania tej wielkiej straty — wysłany był lejtn. Ubysz. Ale na wzgórzach ukazała się piechota angielska i pościgu trzeba było zaniechać.

Wojsko wysadzone z eskadry składało się z dwóch regimentów 82 i 89 i oddziału hiszpanów.

Nieprzyjaciół zaczął się gotować do ataku—licząc na przeważające siły—przysłano parlamentarza, którego odprawiono z niezem. Zaraz też batalion atakujących podsunął się pod mury fortu, a z eskadry sypać się poczęły pociski.

Zaimprovizowani kanonierzy dobrze się w forcie sprawiali, nawet udało się im zatopić szalupę z ludźmi.

Wymiana strzałów z ręcznej broni nie usta-
wała, ze strony angielskiej padł major Grant.
W forcie byli zabici — legł jeden z kanonierów.

Nadeszła noc ciemna — i deszcz padał. An-
glicy sprowadzili działa i na 150 sążni od fortu
urządzili baterię. Oblężonym przybyła także
nadszpodziewanie pomoc w osobie lejtn. Chełmic-
kiego z jego oddziałkiem, który zawiadomiwszy
komendanta Malagi i posterunek Bronisza, potra-
fił omylić czujność Anglików i przyjść swoim
z pomocą. Ledwie dzień się zaczął (15 paźd.)
zagrzmiała kanonada z baterii i okrętów — ludzie
ginęli — mury się sypały, trzeba było zachęcać
do walki.

Kom. Młokosiewicz powtórnie wysłanego par-
lamentarza nie dopuścił do rozmowy.

Gen. Blayney rozgniewany goręcej napierać
poleciał.

Obrońcy odczuwali znużenie, a pomoc nie
nadchodziła.

Od strony Malagi ukazali się wreszcie ka-
walerzyści — wysunęło się 10 dragonów francuz-
kich jako awangarda oddziału Bronisza. Komen-
dant fortu poleca Chełmickiemu z ochotnikiem,
(stanęło 90), bagnetem zdobyć baterię, sam z 40
wychodzi w assekuracyi. Dragoni robią dywer-
sję. — Baterja zostaje opanowana, są niewolnicy;
pomiędzy którymi i adjutant.

Chełmicki ugania się za uciekającymi i mało
sam nie dostaje się do niewoli. Skoro generał

angielski, obiadujący w znacznem oddaleniu, dowiedział się o wzięciu baterii, nakazuje kontratak.

Narazie odpiera naszych, ale opanowane działa już rażą dawnych swoich panów. Pod-lejtnant Lalewicz, dawny artylerzysta, manewruje niemi zręcznie, pod lordem Blayney pada koń — pomimo to Anglicy już swoją przewagę czują. W sam czas dopada Bronisz z lewego flanku — z przeciwnej strony wzmocnieni obrońcy fortu, walka toczy się zażarta.

Morzem nadchodziła anglikom pomoc z wojskiem wysłanym z Gibraltaru, ale szczęście dopisało naszym. Generał B. odcięty od reszty swojego oddziału wraz z 8 oficerami dostaje się w niewolę.

Ten wypadek zdecydował o wygranie — Anglicy chronią się na szalupy — Bronisz ze swymi zuchami, następując na pięty, kładzie wielu trupem. Wysłanych 400 ludzi piechoty francuskiej przez Sebastianiego przybyli, kiedy już akcja prawie była skończona.

Trzeba się było zająć rannymi, pomieścić jeńców, a było ich przeszło 200 oprócz 8 oficerów i generała.

Komendant Młokosiewicz w swoim pokoju pomieścił lorda Blayney — chociaż nie było to pomieszczenie wygodne, ale *à la guerre, comme à la guerre*.

Z eskadry nie przestawano strzelać do fortu. Komendant Mł. obawiając się żeby wzięci do niewoli nie pokusili się korzystać z nielicznej za-

łogi, musiał wziąć pod obserwację generała B. Ten sam ofiarował się wyjść na wały i dać sygnał eskadrze, aby zaprzestała ognia.

Tak świetnego rezultatu obrony nikt się nie mógł spodziewać, nie liczył na nie podobnego i gen. Sebastiani. — W obawie o losy fortu Fuengirolí — sam dążył na miejsce walki — w drodze mu opowiadano, iż załoga wysadziła fort w powietrze.

Spotkawszy się dalej z raportami, nawet temu, co stało czarne na białem, nie wierzył. Wyслany oddział z niewolnikami kazał zatrzymać w drodze, wystawwszy konia pod generała Blayne'y.

Przybyli razem do Fuengirolí; kiedy spojrzeli na siebie, rzucili się do wzajemnego uścisku jako dawniej znajomi. Żołnierze stron przeciwnych umieli spełnić swe obowiązki, ale nie zapominali, iż ten obowiązek łączyć należy ze szlachetnością nawet względem pokonanego nieprzyjaciela. Gen. Sebastiani ujrzawszy 6 armat zabranych anglikom, obszedł fort, wypytawszy się o wszystkie szczegóły obrony, winszował komendantowi i całej załodze jako też przybyłym w pomoc oddziałom tego wspaniałego sukcesu.

Kapitan Młokosiewicz w swoich wspomnieniach¹ z Hiszpanii o ataku na fort Fuengirolí podaje imiona towarzyszy razem z nim kierujących obroną. Szef batalionu Bronisz, kapitan Płache-

¹ Mes Souvenirs d'Espagne en reponse aux écrits relatifs a l'attaque du fort de Fuensirola.

cki Władysław, lejtenanci: Chelmiecki Eustachy, Usiecki Wojciech, Ubysz Jan, pod-lejtenanci Petit Fryder, Lelewicz Franc. Otwinowski Michał, Osniałowski Andrzej, Zakrzewski Józef kap. Authier, lejtn. Petion, Baudoue a szczególnie Montagnar sierżant.

W ostatku dodać wypada, co spowodowało kom. Młokosiewicza do ogłoszenia tej relacyi — bynajmniej nie chęć chwalenia się czynami swemi, ale było to jego świętym obowiązkiem, gdyż co generała Blayneya spotkało w r. 1810 i na jego sławie wojskowej zaciążyło, to chciał później jako lordowska mość zatuszować i ogłosił książkę p. t. sprytnie ułożonym *Relation d'un Voyage forcé en Espagne et en France de l'an. 1810—1814* w której wiele rzeczy nie tylko mylnie ale fałszywie opowiada, a swym zwycięzcom, choć im osobiście oddawał zalety, takowe obniżyć usiłuje i w pamfleciarza się zabawia. Tymczasem jeszcze prawnuki tych Władysławów, Eustachych (jak Andrzej prawnuk Andrzeja) mogą stanąć z listą służby swych naddziadów i upomnieć się o sprawiedliwość, gdyż tam stoi, iż dzielnie się sprawili z żółtymi wyłogami wojacy i potłukli z kretesem czerwonych anglików.

Ks. Wł. Fudalewski.

Z CYKLU:

W KRAINIE SŁOŃCA.

(Drogi przyjacielom: Zofii Natansonowej i Arminowi Horowitzowi—ofiaruję).

I

Dolce far niente!

Na niebie jasne słońce płonie,
Odbija jego blask głębina,
Przez wysrebrzone morskie tonie
Łódź moja cicho się przerzyna.

Od gór ożywcze płyną wonie,
Słonym wyziewem dyszy morze,
Pierś moja wszystko chciwie chłonie,
Łódź lekko niesie mię w przestworze.

Wietrzyk łagodnie chłodzi skronie,
Z lasu przynosi śpiew słowika, —
Myślą leniwą w świat nie gonię,
A łódź swobodnie w dal pomyka.

Serce spokojnie bije w łonie
I głosu pragnień w niem nie słyszę, —
W rozstłonecznione patrzę tonie,
A łódź tak lekko się kołysze!

II

O p a r y.

Dziś olbrzym morze słabo dyszy,
Zwolna opada pierś zmęczona
I szeptem fal nie mąci ciszy;

Z głębi sennego jego łona
Powstają wiotkich mgieł opary
I biorą skały w swe ramiona;

Wszędy się snują mgliste mary,
W górę korowód ich się wlecze
Aż pod świątyni szczyt prastary;

Już go ujęły w swoją pieczę,
Lecz wyżej, wyżej coś je żenie
Jak niepochwytne sny człowiecze.

Na duszę mą padają cienie
I dziwne budzą rozemdlenie.

Janina Górska.

Abbazia.

GDYM DZIECKIEM BYŁ.

Gdym dzieckiem był,
Mówiono mi, że miłość dźwignią świata.
Że prawo to wszechludzkie, a prastare.
Uczono mię jak kochać trzeba brata,
Ludzkości nieść swe życie na ofiarę.
Jam słuchał rad i w duszy mej skarbnicy
Krył słowa te jakoby pyszne dary
I orła moc tryskała z mej źrenicy,
Gdym przyszłość swą działania a ofiary
Przecudnie śnił.

Gdym dzieckiem był,
Mówiono mi, że prawda a sumienie
Jedyne to są życia drogowskazy,
Za niemi dąż, dąż ciągle, nieskończenie,
Przez pragnień twych ruiny dąż bez skazy.

Jam słuchoł rad i z duszy mej chłopięcej.
Wysnuł się świat ten idealny, złoty
I odtąd myśl łaknęła go wciąż więcej,
I jam doń biegł, za państwo biorąc cnoty,
Ze wszystkich sił.

Dziś to już myt,
Bo ludzkość dziś to zowie bajką starą,
Co dotąd wciąż przeświętem prawem zwano,
Bo dzisiaj świat nie żyje prawdą — wiarą,
Choć płacze on nad wieczną ludów raną.
Bo dzisiaj fałsz wszechwładne dzierży berło,
W rozliczne się wielając wciąż postacie,
A czując żal za tą zgubioną perłą,
Ja w duszy mej wciąż słyszę po jej stracie
Piekielny zgrzyt.

Dziś to już myt,
Bo miłość dziś świat zowie bajką starą
Dzieciom ją dać, powiada, dla pustoty,
Nie goni nikt za niepochwytą marną,
Dziś inny bóg — wszechwładny cielec złoty.
Wśród różnych gwiazd już betlejemska zgasła,
A innych moc zwątpiałe rzesze wie dzie
I inne dziś świat przebrzmiewają hasła,
A pośród nich straszliwe to na przedzie:
Walka o byt.

Witold Kamocki.

WOBEC PRĄDÓW OBECNYCH.

Całe społeczeństwo, a tem samem i jednostki, przechodzą w różnych czasach przez pewne moralne wstrząśnienia. Jakaś myśl, słowo wymówione i powtarzane, pragnienie obudzone, żądza porusza wszystkich; a ta myśl w innych czasach nie miała tego dla ludzi powabu, to słowo przebrzmiewało dawniej bez echa, to pragnienie nie budziło się niegdyś tak żywo ani ta żądza z taką siłą. A te prądy, jakie nurtują w społeczeństwie, wkraczają także i w dziedzinę duchową; owszem, one tam ostatecznie uderzają i stamtąd biorą—brać powinny, —kierunek i naprawę. Aby mózdz tedy pracować z korzyścią dla społeczeństwa, dla ludzi, trzeba wiedzieć co ich porusza w danym czasie. Powiedziano, że ten jest wielkim, kto wypowie głośno to co wszyscy czują; i w tem jest wielka prawda. Może taki nie koniecznie być wielkim w sobie; ale staje się wielkim u ludzi, i taki tylko ma wpływ na nich.

Nie dziwmy się więc niektórym wielkościom dzisiejszym, a starajmy się my być wielkimi w dobru, w najlepszym znaczeniu.

A jakie są dziś te prądy i te namiętności co społeczeństwem wstrząsają?

W społeczeństwie dzieje się podobnie jak w pojedynczym człowieku; ma ono także swoje dzieciństwo, swoją młodość, wiek dojrzały i starość. Św. Paweł, wszystkich wiernych, całe społeczeństwo chrześcijańskie przedstawia jako jedno ciało z Chrystusem, głową. Choć członki tego ciała, powiada „nie jedną sprawę mają“ (Rzym. XII) to przecież „wszyscy jednym duchem jesteśmy napojeni“. (1 Kor. XII). Stąd wyprowadza wniosek, że skoro „wiele nas jednym ciałem jesteśmy w Chrystusie, a każdy z osobna jeden drugiego członkami“, (Rzym. XII) przeto Bóg tak „umiarkował“ to ciało „iżby jedne członki o drugich staranie miały“ (1 Kor. XII). A to ciało, według św. Pawła „*rośnie na pomnożenie Boże*“ (Kolos. II). I to wzrastanie ma swój cel, swój kres. Bóg dał Kościołowi „pasterze i doktory, ku wykonaniu świętych, ku budowaniu ciała Chrystusowego, ażebyśmy się wszyscy zeszli, mówi Apostoł, w jedność wiary i poznania Syna Bożego, *w męża doskonałego*, w miarę wieku zupełności Chrystusowej“. (Efez. IV. 12, 13). „*Rośmy* tedy w Nim we wszystkim, który jest głową. Chrystus, z którego wszystko ciało złożone i spojone będąc, przez wszystkie stawy dodawania, według skuteczności, podług miary każdego członka, czyni

pomnożenie ciała ku zbudowaniu samego siebie w miłości". (Efez. IV. 15).

Ten wzrost tego ciała mistycznego Chrystusowego, którem jak społeczeństwo chrześcijańskie, a które od Chrystusa ma to, że rośnie („z którego wszystko ciało rośnie na pomnożenie Boże" Kol. II.), ten postęp kościoła nie bywa bez walki; owszem, on, ten postęp, owocem jest walki z prądami i namiętnościami, jakie nurtują w społeczeństwie i jest skutkiem ostatecznego skierowania tych prądów na prawdziwe tory.

Człowiek w miarę rozwijania się różne przechodzi koleje, jest wielorako kuszonym, próbowanym. Najprzód budzą się w nim zmysły. Następnie rozum, który w początkach łatwo wszystko przyjmuje i długo nabiera materiału zanim przechodzi do samodzielności, a przyszedłszy do niej zaczyna wątpić, chce sam wszystkiego dochodzić, wszystko sobie wytłumaczyć; czego nie rozumie, to odrzucić gotów. W końcu wola, która, gdy się rozum rozwinął, nabiera prawdziwej mocy, chce być już zupełnie samowolną; nie działa już na wpół bezwiednie, nie zdając sobie dobrze sprawy, ale chce rządzić i panować z całą świadomością, oparta na nabytem doświadczeniu i na zebranych wiadomościach. Widzimy też, że ludzie, w zwykłym porządku rzeczy, jeśli upadają, to upadają najprzód obyczajowo; następnie przechodzi czas, w którym wielu traci wiarę. Rozum z czasem się uspokaja, nie jeden z tych co wiarę stracili byli, wraca do niej; ale następuje okres

spotęgowanej woli. To samo co w pojedyńczym człowieku spostrzegamy i w społeczeństwie całym. Chrześcijaństwo, w początkach, musiało walczyć przedewszystkiem z ciałem. To ciało tak gnębiło wtedy ducha, że uciekano na pustynię, by się od świata na wskroś zmysłowego oderwać; że, jak powiada Tertulian o współczesnych sobie ludziach, wielu z pogan przekonanych o prawdziwości wiary chrześcijańskiej, nie przyjmowało jej dla tego, że chrześcijanom wzbronionem było uczęszczać do amfiteatrów na przedstawienia gladiatorów! Tak mocny czuli w sobie pociąg do najbardziej zwierzęcych uciech. Taki nawet św. Alypius, przyjaciel św. Augustyna, raz poszedłszy do amfiteatru z mocnem postanowieniem nie patrzenia na walkę gladiatorów, gdy niechcąc na nią spojrzeć, oczu już oderwać od niej nie był w stanie. Dzikość obyczajów trwała jeszcze długo. Kościół wieki całe miał do czynienia przeważnie z buntem ciała; jeszcze św. Grzegorza VII walczył z rozwiązłością monarchów i kleru. Kościół w końcu zwyciężył; ciało poddał Chrystusowi. Św. Grzegorz VII obrania ostatecznie jednożeństwo w Europie i celibat kapłanów. Jeszcze trwała walka z ciałem, a już się rozpoczynał bunt rozumu ludzkiego. Po ustaleniu się chrześcijaństwa powstają wielkie herezye. Umysł ciekawy chce wszystko zbadać, wszystkiego dociec, sam sobie wszystko wytłómaczyć. Herezye, począwszy od Ariuszowej a skończywszy na Monoletach, za punkt wyjścia mają: poddanie obja-

wienia rozumowi. Brały one wszystkie w filozofii ówczesnej pewnik, że ile osób tyle jest natur, że osoba nie różni się wcale od natury i stosowały ten pewnik rozumowy do dogmatu Trójcy św. i Wcielenia rozwiązując je według niego. Po Monoteletach brano inny znowu pewnik rozumowy. Kościół i tu zwycięża najzupełniej, poddaje rozum objawieniu i tem samem rozum rozwija, kształci, podnosi. Są to Wieki Średnie. Nauka teologiczna i filozoficzna zakwita, ustala się nauka kościelna. Ale niebawem powstają nowe prądy, budzą się nowe pragnienia, które przechodzą w bunt woli. Zaczęto domagać się wolności sumienia, tolerancyi religijnej, praw człowieka; w końcu wolności wszystkiego czego wola zapragnie. „Co dziś głównie porusza człowieczeństwo? pytał temu lat 30 X. Julian Feliński. Czyż nie żądza niezależności? wolności? I już nie chodzi tylko o wolność tłumaczenia Pisma św., ani nawet o wolność myślenia w ogólności, ale o wolność społeczną, niezależność społeczeństwa od wszelkiej władzy Bożej. Idzie o obalenie wszelkiego prawa Bożego, a wprowadzenie prawa człowieka. Nawet samiż katolicy, zwani liberalni, chcą ograniczyć prawo Boże a przyznać człowiekowi wolność możliwie największą, przy której ledwo, że jako tako mógłby się ostać jeszcze Kościół. Dziś panującą herezyą jest herezya wolności“. Od tego czasu jakże daleko już postąpiła ta *herezya wolności!* Człowiek „chce dziś sam, niezależnie od Kościoła, od Boga urządzić

społeczeństwo—pisał temu lat 50 X. Piotr Seme-
nenko—a urządzić trwalej, mądrzej, szczęśliwiej
niż Kościół, chciałby Kościół Boży zawstydzić
i już na ziemi niebo uczynić“. Rozdział Państwa
od Kościoła znajduje wielu stronników wśród
samychże katolików. Dla nich jestto wyzwolenie
Kościola z pod zależności Państwa, ale z przy-
znaniem zupełnej i we wszystkim niezależności
Państwa od Kościoła. Żyjemy w czasach, w któ-
rych ziszcza się przepowiednia Krasińskiego
w „Irydionie:“ „Przyjdzie czas, w którym cień
krzyża śpieką się wyda narodom, i on darmo
wyteży ramiona, by raz jeszcze odchodzących
przytulić do łona. Jedni po drugich powstaną
i rzekną: Nie służymy więcej!“

Ta herezya wolności, jak ją nazwał X. Fe-
liński, ten bunt woli, jest cechą znamioną dzi-
siejszych czasów, a nie tylko nurtuje on wśród
ludzi świeckich. Powszechnie słyszą się skargi
w zakładach duchownych, że trudno dziś o kar-
ność. We Włoszech Papież wydał tego roku En-
cyklikę, w której zwraca uwagę biskupów wło-
skich na usiłowania wywołania nieufności, nie-
chęci, opozycji duchowieństwa przeciwko bisku-
pom. U nas nie lepiej jest, jeżeli nie gorzej.
Winę tych złych objawów przypisują Wolnomu-
larstwu. Chce ono zepsuć kler, powiadają, aby
zniszczyć Kościół. Zepsuć kler? pyta Przegląd
Polski (Nr 483).—„Jakim sposobem? przez zły
obyczaj, przez rozpustę? to się uda z niektórymi
idylwudami, ale nie z ogółem duchowieństwa;

trzeba jakiego środka, któryby działał szerzej, ogólniej. Cementem i siłą organizacyi Kościoła jest jego hierarchia... Gdyby tę dało się zachwiać i rozprądz, sprawa byłaby wygraną“. Dla czego, pytamy, wolnomularstwu nie uda się z ogółem duchowieństwa dokonać tego przez rozpustę? Wiemy, że przed św. Grzegorzem VII całe niemal duchowieństwo było uległo zepsuciu. Inne były wtedy czasy, inne prądy. Nie wolnomularstwo je dziś wywołuje, ale z nich korzysta; umie ono używać tych dążeń dzisiejszych do swoich celów. A czy je osiągnie? „Nie przypuszczam, pisał X. Morawski, żeby mógł powstać w chrześcijańskim świecie jakiś wielki prąd duchowy, choćby ze złego poczęty źródła, któryby nie był przez Opatrzność kierowany ku jej najwyższym i miłościwym celom, i dla tego właśnie przez nią dopuszczony, że ma w końcu tymże celom posłużyć“. Ale P. Bóg zazwyczaj, choć sam działa, woła człowieka do współdziałania. Co dziś tedy należy czynić, aby ten ogólny prąd wieku służył Królestwu Bożemu na świecie?

Zwykle na to uderzają, co potem tem silniej ma się zatwierdzić. Tak się działo z prawdami dogmatycznymi. Każda niemal z prawd wiary, zanim była przez Kościół ostatecznie określona i ogłoszona za dogmat, bywała zaprzeczana lub w wątpliwość podawana. Odróżniają zwykle trzy okresy przez jakie każda prawda wiary przechodziła. Najprzód była ona przez jakiś czas, jak powiadają, w stanie spokojnego posiadania, to

jest, że w nią powszechnie wierzono, nie zdając sobie bardzo sprawy dla czego. Następnie pojawiło się zaprzeczenie. Wywoływało to na razie pewne zamieszanie. Zaczynano oglądać się za racyami, powstawały pewne wątpliwości, wywijały się dyskusye. Wiara w tę prawdę, o której nikt przedtem nie wątpił był, w umysłach niektórych na jakiś czas bywała zachwiana. W końcu Kościół bliżej tę prawdę określał, objaśniał i za dogmat ogłaszał. Wtedy ustępywały wątpliwości i znowu jak dawniej wierzono w tę prawdę, ale już z całą świadomością. Zawsze tedy, to właśnie było najwięcej zaczepianem, co następnie najmocniej miało być zatwierdzeniem. Tak się rzecz ma, wierzymy i dzisiaj. Czem mocniej, czem uporczywiej działalność Boża i Kościoła chcą ograniczyć, tem bardziej ona uznana i zatwierdzoną w końcu będzie. Nam tedy odważnie w obronie jej stawać należy, w niczem nie ustępując z praw Bożych i kościelnych. „Aby temu złemu dzisiejszemu zaradzić — pisał X. Julian Feliński — trzeba dać zrozumieć ludziom, że zbawienie świata leży w tem, aby wprowadzić panowanie Boga samego w dusze, a tem samem i w społeczeństwo; że my nie możemy osiągnąć prawdziwej wolności jak tylko przez panowanie w nas Boże, bo łaska Boża jedna i jej w nas panowanie, wyzwala nas z niewoli naszych namiętności, ona jedna nas łączy między nami w miłości, ona jedna w końcu, przez ścisłe połączenie naszej woli z wolą Bożą, czyni nas wszechmoc-

nymi, *a tem samem doskonale wolnymi*. Trzeba aby zrozumiano, że P. Bogu nie dosyć rządzić nami przez same tylko przykazania, pozostawiając nas zresztą panami naszej woli; On chce nami rządzić we wszystkich czynnościach naszych; chce ich być początkiem, sprawcą i końcem. Trzeba byśmy mogli powiedzieć z Chrystusem: „Sam z siebie nic nie czynię“ i „Ojciec we mnie mieszkający, on czyni uczynki.“ Zapewne, że takie zupełne poddanie się Bogu nie jest nakazanem; ale jest doskonałością. O to każe nam Chrystus prosić, mówiąc: „Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja *jako na niebie tak i na ziemi*:“ To, jako kapłani, powinniśmy się starać ziszczać... Otóż ta konieczność nie robienia niczego samym z siebie („Bezemnie nic uczynić nie możecie“) czy była dostatecznie dawniej podnoszona? Nie. Nie znajduję wcale tej prawdy tak ważnej *jasno* postanowionej: że Bóg od całej wieczności przeznaczył każdemu stworzeniu szczególne zadanie do spełnienia, że istoty rozumne obowiązane są starać się poznać szczególne swoje powołanie od Boga im dane, i odpowiedzieć mu wiernie. Przypuszcza się, że cel człowieka jest koniecznym, to jest, niezależnym od naszego własnego wyboru; ale że środki prowadzące do tego celu, dobre w sobie, wszystkie są dobre i dla nas, że więc w wyborze ich jesteśmy zupełnie swobodni. Doskonałość ma leżeć jedynie w tem, by wybierać te środki, które *najskuteczniej* osiągają chwałę Bożą. — Wszystko to prawda, ale tego jeszcze

nie dosyć. Trzeba dodać, że doskonałość *dla nas* leży w wyborze tego co *dla nas* Bóg przeznaczył, choćby to nie było samo w sobie doskonałym. I tak na przykład, jeżeli wybieramy dla siebie stan doskonałości nie będąc do tego powołanymi, popełniamy coś zuchwałego, bardzo niedoskonałego, a nawet naganego, choć ono w sobie samem jest doskonałym. Jeśli z drugiej strony nie szukamy stanu doskonałości będąc do niego powołani, pewno że nie grzeszymy, bo nie przekraczamy żadnego przykazania, ale popełniamy niewierność, która nas naraża na utratę łask dla nas przygotowanych, a tym sposobem wystawiamy na niebezpieczeństwo nasze zbawienie. Ta konieczność nie działania z nas samych, nigdzie dotąd nie była w całej pełni i ze wszystkimi jej następstwami jasno i stanowczo postawioną. Naszą rzeczą jest te prawdy podnieść, które dzisiaj mają takie doniosłe znaczenie, a wywracają z gruntu wszystkie ideje liberalne i kładące podwaliny do panowania Bożego na świecie.“

Aby to panowanie Boże tedy w nas i na świecie się ustaliło, musimy we wszystkim za-
twierdzać wolę Bożą, a poddawać jej wolę własną, zapierając się własnej, wyrzekając się czynności i siebie. Wtedy ustali się Królestwo Boże, bo będzie panowała wszędzie wola Boża. Ale zarazem czy nie będzie *niewola* nasza? A na *niewolę* człowiek nigdy się nie zgodzi, tembardziej dzisiaj. On chce działać, chce czynu i chce wolności. I ma słuszność; Bóg niewoli też nie chce,

stworzył przecież człowieka do wolności Synów Bożych. *Ten ruch wolnościowy*, o którym mówiliśmy, *nie zniszczonym być ma, ale ku Bogu skierowanym*. Potrzeba, żebyśmy sami *dobrowolnie* chcieli tego — i tylko tego chcieli — co Bóg chce. Ale tego dokazać może jedna tylko *miłość*; owszem, ona w tem właśnie, że niczego nie chce, a tylko woli ukochanego. To samo chcieć i tego samego nie chcieć, to dopiero prawdziwa miłość, powiedział był Cynceron: „*Idem velle et idem nolle, ea demum vera amicitia est.*“ A tę miłość ku Bogu skuteczniej obudzić w człowieku nie można jak okazując mu że go Bóg uprzedził w miłości; owszem że jest samą miłością „*Deus charitas est.*“ (1 Joan. IV. 8). Głównem tedy dziś zadaniem przekonać człowieka że go Bóg kocha: opowiadać mu Boga, który jest miłością. Skoro się przyjmie bowiem, że Bóg jest miłością, sama z siebie okaże się konieczność z naszej strony nie tak *poddania się*, ale *oddania się* zupełnego Bogu, nie wyrzekając się czynności wszelkiej, ale czynności z siebie, czynności nie z Boga i nie z Bogiem, nie wspólnej, a to aby odpowiedzieć Jego miłości i królestwo Jego miłości w nas wprowadzić, a przez nie i nasze królowanie, współkrólowanie nasze z Bogiem, w jedności miłości. Wtenczas odzyskamy prawdziwą wolność: chcąc tego czego Bóg chce, staniemy się niejako wszechmocni, bo wszystko to czego chcemy, zawsze się ziści.

X. Paweł Smolikowski C. R.

I

Widziałem raz obraz Jose Benlliure'a y Gil'a. Z gęstwiny leśnej wypływa gondola, a w niej pod namiotem, w dyamentowe połyski przepychu strojnym, para ludzi.

On młody i piękny słania się ku niej, owianej bielą dziewiczego wdzięku. A powietrze przepełnione słońcem wiosny, a bogactwo zielonych konarów przetkane kwieciem girland i festonów, a u góry wabią się gołębie i figlarnie migają główki amorków, a lśniąca biel marmurowych stopni zaprasza do czarodziejskiego przybytku rozkoszy. Łódź ciągną po cichej fali cztery białe łabędzie, kierowane świetlistymi lejcami kupidyna. Jeden łabędź dopływa do pałacu, natomiast trzy inne uwożą łódź w pomrokę.

Piękny sen. Cóż to jest? Tytuł: Wyspa miłości.

Widziałem raz inny obraz Arnolda Böcklina.

Pośród ciemnej, ponurej i nieruchomej roz-
toczy wód wysoko skalistymi brzegami piętrzy
się pustynna wyspa. Na niej smukłe, czarne cy-
prysy cicho stoją. We wgłębieniach bocznej ścia-
ny tajemne drzwi wiodą w skalne łono. Poza
wyspą oddale lśnią się chłodnem rozświetleniem.
A ku nim łódka z trumną i samotny biały wio-
ślarz ledwie znacznym ruchem bez szelestu płyną.

Smutny sen. Cóż to jest? Tytuł: Wyspa śmierci.

Oto dwie różne drogi, a kres wiecznie ten
sam: tajemnica.

II

Burzą wezbrany potok górski z szumem się
toczy i porywa ze sobą w nieznane dale — łódkę
moją.

Wyteżam siły, walczyć chcę z przemocą, roz-
cinam zimną i złośliwie syczącą pianę wody,
wskakuję na wzdęty grzbiet jej, ślizgam się po-
między dwoma skalnymi złomami, które spodem
w toń pogrążone — górą szczerzą ku mnie swe
ostre zęby, jak kły odyńca.

Zwyciężam długo. Ale słabnę, czuję, że ule-
gnę. Fala wytrąca mi ster, fala łamie wiosło,
fala gasi nadzieję, fala pochłania łódkę...

Tak życie i człowiek.

Dopóki moc czuje, opiera się, walczy, płonie
nadzieją, puszy się złudzeniami, zmagą się z prą-

dem, narzuca swoje wiary innym, zdobywa miłość, rozpala w sobie i innych porywy ku szczęściu, bywa okrutny i miłosierny, szczodry i nie-nasycony, gwałtowny jak piorun i cichy, jak tchnienie kwiatu. Bywa, jak owa

Pochodnia, ogień, światło, żar:
Swieci i razem spala,
I ciepła razem niesie dar
I pożarami w gruz obala.

Ach, bądź błogosławiona wiosno życia ludzkiego!

A potem — dogasa. Szczęśliwy, kto jak W. Hugo dogasając porówna się do starego dzwonu na wieży.

Dawniej śpiż lśnił się, pałał blaskiem. Ale wieżę zwiedzało dużo ludzi i każdy — tępym nożykiem, zardzewiałym gwoździem skrobał nazwisko, dowcip, głupstwo... Pył okrył dzwon, pająki go osnuły...

A jednak i dziś jeszcze, gdy się rozkołysz, z drżącego łona spiżu wydziera się potężny, rwący dźwięk... a pył, skazy, pajęczyna — wszystko dostraja się do harmonii z dźwiękiem...

Antoni Mazanowski.

Mimowoli, w przeddzień *wielkiej* nocy t. j. świętej, nie wielkiej (długiej) *nocy* t. j. śmierci (tak w XVII wieku Wacław Potocki ustalił różnicę), pytamy, jakiej to pieśni najdawniejszej lud nasz wzbudzonym uczuciom religijnym folgował, jakimiż to strofami polskimi przeplatał łacińskie kapłanów kantyki przy procesyi uroczystej? Nie myślimy tu o owych bujnych zwrotkach, „Chrystus zmartwychwstał jest, Ludu przykład dał jest“ i t. d., ani o drugiej, „Przez Twe święte zmartwychwstanie; śpiewanych już w wieku XIV (odpis pierwszej posiadamy już z roku 1363), lecz o całych pieśniach, dłuższych, liczących zwrotek kilka lub kilkanaście, o budowie zawilszej:

Otóż i taką pieśń posiadał lud nasz już w w. XIV, samoistną niegdyś zupełnie, później, gdy przyzwyczajono się od „Bogarodzicy“ zaczynać

wszelki religijny śpiew narodowy, uważaną za jej ciąg dalszy, tak że już po r. 1410 obie pieśni za całość nierozzerwalną uchodziły. O „Bogurodzicy“ nie myślimy tym razem rzecz szerzyć: w ostatnich miesiącach dwie o niej w obieg puszczone baśni. Rusin jeden chciał ją nam skonfiskować, wymyślił ni ztąd ni zowąd białoruski jej początek, ale nas nie zubożył, tylko siebie i swoich, co baśni uwierzyli strasznie ośmieszył; to znowu rozgłoszono, że nowy jej odpis, tym razem niby z XIV wieku pochodzący, odszukano: obawiam się niestety, czy i to nie mistyfikacya jakaś, acz poniewolna? Oby się najrychlej sprawdziło, nie powątpiewanie, lecz oczekiwanie nasze!

Tu, na Wielką Noc, zwrócimy tylko uwagę na ową najdawniejszą pieśń wielkonocną, tworzącą dalszy ciąg pierwotnej, dwuzwrotkowej „Bogurodzicy“. Bo pieśń to ciekawa, oryginalna, dotąd należycie nie zrozumiana. Oryginalna niesłychanie już tem, że polskie urządzenia na niebo przenosi; mówi o *wiecu* Boskim na niebie, w którym siedzi Adam *kmieć* t. j. baron *kmetones* tytułowano najwyższych dostojników państwowych, szczególnie w XIII wieku, a w piekle wspomina *starostę*, t. j. starostę generalnego, generała, jakiego Czesi do Polski po r. 1300 wprowadzili i *strożę* dyabelską—*stroża*, to ciążący na polskich dziedzicach obowiązek, kolejnego po grodach stróżowania. Jak to wysłowienie oryginalne, podobnie ciekawa jest i treść pieśni, jednolita, spoista, nie kręcąca się w kółku, jak dotąd myl-

nie pojmovano, nie powtarzająca się niezdarnie, bez związku czy ładu.

Pierwsza jej zwrotka do uwag sposobności nie nastęrcza, jasny jej tekst i układ: *Nas dla* (Dla nas, wedle dawnego szyku słów), *wstał z martwych Syn Boży; Wierzyż w to człowiecze zbożny* (pobożny), *Iż przez trud Bóg swój lud* (rymy wewnętrzne), *Odjął djablej stroży*. Już druga nastęrcza pewną trudność czy niejasność: *Przydał nam zdrowia wiecznego, Starostę skował pkielnego* (piekielnego), *Śmierć podjął, Wspomionął człowieka pirwego*: razi nas może przecież „Śmierć podjął“ skoro już poprzedziły, że okował burmistrza podziemnego, co dopiero po śmierci na krzyżu się stało! Z tych zważymy, że to śmierć na Nim po raz pierwszy „uszczerbiła kosę“, że On śmierć przewyciężył, pojmał tę, co dotąd wolnie nad rodem ludzkim bujała, zapytamy, czy nie należałoby czytać, *śmierć pojmał* t. j. pojmał, jak w dawnym języku mawiano, np. czytamy w rocie sądowej z r. 1424: *iże Mikołaj pojmał Janowa parobka*. Tak sens byłby znakomicie ustalony; pierwsze słowa: *przydał* i t. d. rozprawadza się w dalszym ciągu, t. j. przez to, że skował dyabła, a śmierć pojmał, wspomniawszy na pierwszego człowieka.

Temuż następna zwrotkę poświęcono, określając bliżej, gdzie był, co czynił „pirwy człowiek“, gdy Zbawiciel piekło zwyciężał: *Jenże* (który), *trudy cierpiał zaniernie* (zaiście), *Jeszcze był nie prześpiał zaśmiernie* (pokornie, od śmiary pokory

t. j. w swej pokorze jeszcze nie wygrał, nie dokonał wszystkiego), *Aliż* (aż), *sam Bóg zmartwych-
wstał*.

Gdy to się nakoniec wypełniło, gdy Bóg go-
dło zbawienia naszego, krzyż, zwycięzko zatknął
w otchłani, gdzie ojcowie nań i na zbawienie
czekali, cóż nastąpiło? Oto: *Była radość, była
miłość, Było widzenie Twórcy angielskie bez końca,
tuć się nam zwidziało* (okazało), *Dyable potępienie*.
Nie zrozumiano tej zwrotki; odnoszono ją do strą-
cenia Lucypera z nieba (ależ nie widzieliśmy tam
tego *my!*); tłumaczono ją najrozmaiciej, tylko nie
tak jak należy: przecież to pieśń wielkonocna,
o tryumfie Zbawiciela nad otchłanią śpiewa i do
otchłani, do potępienia dyabła, odnieść ją należy.
Siły niebieskie otaczały Zbawiciela, prawi t. z.
Ewanielja Nikodema czyli właściwie zejście Zba-
wiciela do otchłani (Descensus ad inferos), gdzie
w naiwnej prostocie opowiedziano domyślne szcze-
góły tej walki, jak w końcu potępił tam Zbawi-
ciel szatana na wieki i związał go silnie, „skował“;
wtedy to ujrzeli na własne oczy ojcowie to „dya-
ble potępienie“. Nie należy więc odrywać zwrot-
ki od właściwego jej otoczenia, w którym zupeł-
nie rozumiała i jasna, chociaż już inaczej zbu-
dowana, niż poprzednie, ale i w poprzednich żad-
nej jednolitości budowy metrycznej nie było.

Jedyny byłby szkopał, że w najdawniejszym,
krakowskim, odpisie, około r. 1420 sporządzonym,
wtrącono między tę zwrotkę a poprzednią dwie
inne, z wezwaniem do Adama najwpierw: *Adamie*,

*ty Boże kmieciu (dostojniku), Ty siedzisz u Boga
w niecu (radzie państwowej), domieściż twe dzieci,
gdzie królują angiele; słowo tej prośby wywołało
samym skojarzeniem myśli najnaturalniejszym
dalszą prośbę: Tegoż nas domieściż (t. j. doprowadź,
umieść nas), Jezu Chryste miły, Bychom (byśmy),
z Tobą byli, Gdzie się nam radują Sve (wsze,
wszystkie), niebieskie siły. Ale to nie jest szko-
puł i nie potrzeba wcale zwrotek przestawiać:
związek ich był przecież z góry nieco luźny,
przeplatały je wiersze hymnu łacińskiego, więc
można było i strofy nowe wstawiać; ogólny wę-
zeł, stosowanie się treścią do nastroju i chwili,
wystarczał dla niewybrednej kompozycji, zacierał
ją dostatecznie. I rzeczywiście dodawano jeszcze
dalsze zwrotki, powtarzając a raczej uwydatniając
nowe dzieła Odkupienia szczegóły, wpłatając na-
wet wzywania, ponowne Bogarodzicy, dalsze pa-
tronów krajowych (śś. Stanisława, Wojciecha),
i klasztornych (ś. Klary i in.), a nawet Wszyst-
kich Świętych. Tych dalszych zwrotek, może
późniejszych, jasnych co do myśli i układu, już
nie przytaczamy: nam wystarczył dowód, że pierw-
szy, główny zrąb naszej pieśni najdawniejszej
Wielkonocnej, z XIV wieku pochodzącej—bliżej
na razie czasu nie ograniczamy, co do myśli
przedstawia układ jasny, logiczny — należało go
tylko wyrozumieć. Oby i inne tej dalekiej prze-
szłości szczegóły zawsze podobnie wyrozumieć
się dały!*

A. Brückner.

Огромна, głucha, martwa cisza. Groza luta zastygła w zimowym zmierzchu — przerażenie ciężką stopą depce ziemię.

Oniemiało życie: zeichły głosy ludzkie, milczy Wisła spętana lodem. Czarne ptaki złowróżbne zataczają korowód ciężkich lotów; pies zjeżony, bezpański, zawył wśród pustki i ucichł, przerażony echem głosu własnego; nawet wiatr zwinął śmigłe skrzydła i stanął nieruchomy...

Bo widmowej grozy obraz zoczył na swej drodze.

W koralach zastygłej krwi stoi gród-upiór. Krew broczy lodowy pierścień Wisły, krew krzepnie wśród ulic, krwawą raną błyszczy zachód, pieczęć krwi leży na domostwach pustych, na milczących świątyniach. Ostatnie błyski pełgają na zgłiszczach, dym wytłonych ognisk rozplywa się w przestrzeni, czarne plamy pogorzelisk okrywa sędzielizna popiołów. Z dalekiej ciemni borów, nisko przywarowane pełzną bure smugi.

To wilki... poczuły żer.

Straże nieruchome strzegą ruin — obezwładnione śmiercią rycerstwo obozuje na błoniach.

Ojczyzny synowie i obrońcy... Bielmem zgasyłych źrenic patrzą w grozę najazdu, w hańbę zdrady i mordu.

Huragan przeniknął nad Sandomierzem: ranek Gromniczny widział tu życie, ruch, walkę, zapał — wieczór — otulił cmentarzysko.

Żagiew zachodu gaśnie. Resztę światła, okrucy dnia pochłoneła głodna paszcza ciemności. Kir głuchej nocy zimowej spadł na nędzę spustoszenia. A jednak... nad widmem miasta świecą blaski; szare niebo zimy iskrzy się, jarzy, goreje.

Łunyż to pożaru? promieniowanie zgaszonych ognisk? czy księżycowe połyski?

Takich świateł tam w górze nie oglądało jeszcze oko człowiecze. Rzesze niezliczone obśiały strop niebios; niby źrenice żywe spoglądają, z wysoka, a tam, na skraju, ciemną, milczącą świątynię zwieńczył zwartą koroną blasków dyadem czterdziestu dziewięciu gwiazd...

I stoi gród pomordowanych w tęczy światła, w gloryi męczeństwa i chwały. Królewską purpurą krwi dostojny, silny wycierpianym bólem — krwawą datę rzezi, niby klejnot herbowy, wyciska na karcie dziejów i przekazuje przyszłości.

A przyszłość w tajemniczym łonie wypiąstuje... mścicieli.

Ziemio, ziemio rodzona! Iskrzące i zdobne twoje noce, jeno dni mroczne, bezsłoneczne, ja-

łowe. Gwiazdy — duchy lśniące na twojem niebie, lecz słońca wolności daremnie oczekują żywi.

Od wieków w zagony mogił los orze twoje łany, krzyże cierpienia wyrastają na drogach, w bagnisku ciemnoty lęgną się zbrodnie, szubienica wybiera ohydny haracz niewoli. Królowa męczenników ci Panią, a ból milionów Jej tro-nem. Ciemno, zimno, ponuro. Jałowy nasz trud, ofiary daremne...

Kiedyż wzejdziesz, o słońce!

Drżysz, ziemio? ty umiłowany prochu pokoleń! czujesz niedolę swego plemienia, srom i hańbę niewoli. Nieme, a jednak tak wymowne usta twoje szepcą: Odwagi, otuchy! I mnie pług rozdziera, depcą obce stopy, zlewa krwawa posoka. Żyję jednak i trwam. A Pan każdej wiosny świeżą obłóczy mnie szatą.

I ducha narodu wszechmocna Jego woła urabia ku swoim celom. Rozpala w ogniu cierpienia, uderza raz po raz piorunami nieszczęść, ciężkim młotem zawodów, użyźnia łez i krwi ulewą. Aż zahartuje na stal i skrzese iskrę.

Iskrę odrodzenia.

Patrzcie! Jak Polska długa i szeroka — wszędzie drgają już iskry: zażęga się płomień górny, czysty, życiodajny. Głucha tęsknota ku dobru i sprawiedliwości, płomienna żądza wiedzy targa trzewiami narodu. Przez jałowe warstwy samolubstwa poczynają bić gorące źródła miłości.

Już przedświtszarzeje, już rumieni się wschód... W ogniu serc i duchów jawi się Trójca ukochań

bezgranicznych i obowiązków bezmiernych: Bóg, naród, ojczyzna. I rozkazuje drogi — daje przykazania miłości, zgody, pracy.

Nie ze krwi bowiem ofiarnej, lecz z duchów czystych, z hartownej woli, z czynów żywych — wypromieniuje na niebo nasze słońce wolności. Osuszy łzy, płomiennym pocałunkiem spije krwawą rosę. W gorących jego blaskach wszędzie posiew wiekowych cierpień.

I wyda plony.

G r y f.

O ROZUMIENIU SZTUKI PIĘKNEJ

I SZANOWANIU JEJ ZABYTKÓW.

Był sobie taki Gucio, którego rada familijna postanowiła dla uzupełnienia wykształcenia posłać do Włoch. Dobry chłopiec, mówili sobie, niech jedzie za granicę, rozglądnie się po świecie, obaczy dzieła sztuki, a potrafi potem nawet o czymś więcej, jak o koniach i polowaniu rozprawiać. Jak uradzili, tak i zrobili. Znalazł się mentor, moneta w dostatecznej ilości była złożoną, jeszcze tkliwe pożegnanie z uściskami i przestrokami na drogę, i wyprawa po złote runo artystycznego wykształcenia się rozpoczęła.

Mentor, nieźle obeznany z historią sztuki, był człowiekiem sumiennym. Pomny danych instrukcyj, oprowadzał po drodze pupilla po galeriach i kościołach, zwracając mu uwagę na cenniejsze dzieła sztuki, aby w nim zmysł estetyczny rozbudzić. — Rychło jednak przekonał się, że te wszystkie zabiegi na podatny grunt nie natra-

fiają. Guccio zachwytyów jego nie dzielił, skarby artystyczne Wenecyi i Florencyi wcale go nie zajmowały, podczas wykładow ziewał coraz częściej i głośniejsz, wrodzony zaś humor i swadę odzyskiwał dopiero na ulicy, a zwłaszcza przy butelce Chianti.

Aż raz, a było to już w Rzymie w s. Pietro ai Vincoli, wbrew zwyczajowi swemu zapatrzył się uważnie w groźną postać Mojżesza. Spostrzegł to pocziwy mentor, i — aż zadrzał z radości. Nuż właśnie to arcydzieło tytana sztuki Michała Anioła, w którym z marmuru myśl nieśmiertelna się wylania, rozbudzi śpiącą dotąd iskrę ducha... wzbudzi podziw, i na oścież otworzy wrota zrozumienia! Więc korzystając z chwili pyta się pupilla: zamysliłeś się Gucciu? tak — była odpowiedź. — A wolno wiedzieć o czym? Myślę — odpowiedział Guccio całkiem poważnie, co byłoby lepiej — dawać psom jeść przed pogonką, czy po pogonce...

Po takim wyjaśnieniu Mentor pocziwiec wiedział już, na czym stoi, i był wyleczon radykalnie z wszelkich illuzyj. — Co do Guccia, że przed Mojżeszem Michała Anioła — gonił myślą za szarakiem, tem niezawodnie wystawił sobie możliwie najgorsze świadectwo z estetyki, co mu jednak wcale nie przeszkodzi liczyć się do złotej z szykiem młodzieży i uchodzić za wcale dobrą „partye“.

Swoją drogą, gdy za powrotem do domu rada familijna w komplecie zebrała się, by skutki

estetycznej ekspedycji sprawdzić i podziwiać, Guccio zabrawszy głos, opowiadał szczegółowo o gołębiach na placu św. Marka, cytował jakieś sentencje, wyczytane w obskurnej bottedze przy cmentarzu angielskim we Florencji: kto sam wino pije, ma być kołem łamany, kto się upija ma pójść na galery i t. d.; — pytany o Rafaelu, nie mógł sobie jakoś przypomnieć, czyby zacz był, i czy się kiedy z nim spotkał. Gdy zaś w toku dyskusji zakonkludował, że szczytem poezji jest polowanie, wszystkim zebrany stało się jawnem, że wydana moneta poszła na marne, a zamiary artystycznej edukacji Gucia zrobiły kompletne fiasko. Mamże zataić? Jakiś gderliwy stryjasek głośno zauważył, że i w Paryżu nie robią z owsa ryżu.

A przecież zamiary familijnej rady były wcale dobre. I najlepszy szyk nie pokryje braku zrozumienia sztuki, która do ogólnego wykształcenia jest niezbędną. Za dawnych czasów, wśród służby ojczyźnie na kresach, nie przynosiło walecznemu rycerzowi ujmy, że się nawet podpisać nie umiał. Dziś wymagania są inne, a choćby panicz miał „dworne“ maniery i był zgrabnym tancerzem, jeszcze tem samem nie uchroni się od porównania o ryżu i Paryżu.

Jeżeli rada familijna zamiast np. Paryża wybrała Włochy, miała w tem rację. Imponują one bogactwem zawartych w nich skarbów sztuki. Nie mówiąc o muzeach, niejeden kościół starczy za galeryę, a co np. w zakrystyi ss. Re-

dentore na Giudeca w Wenecyi umieszczone, stanowiłoby gdzieindziej cenny i bogaty zbiór. Co Włochom przyznać należy, że w krótkim stosunkowo czasie na schyłku XV w. tyle skarbów piękna świata przedstawić umieli, jakby nad każdym dziecięciem w kolebce świeciła gwiazda geniusza. I tego pominąć nie można, że zgromadzenie tylu skarbów artystycznych w galeryach świadczy o wielkodusznej hojności tych Papieży i książąt, którzy genialnych mistrzów do siebie przywiązać, a dzieła ich jako duchowy skarbiec ludzkości zebrać i potomności przekazać umieli. Nic tedy dziwnego, że szczególnie do Włoch podążają artystyczne rzesze i tłumy turystów żądnych estetycznych wrażeń, a znaliśmy i takich, którzy za jedyne szczęście uważają spędzenie co roku po kilka tygodni w którymś z miast włoskich.

A widok tylu arcydzieł nie wzruszył Gucia, nie rozbudził ciekawości, nie zbogacił wiedzy, nie wpłynął kształcąco, owszem — żadnego wrażenia nie wywarł, a w umyśle jego nie wyrównał nawet wrażeniom wycieczki np. do Warszawy. Czemu?

By z skarbów sztuki skorzystać i duszę i serce zabytkami jej uradować, potrzeba przynieść ze sobą pewne przygotowanie, by się niejako na-przód znało, co się ma obaczyć. Bez wrodzonego uczucia piękna, bez dodatniego wpływu otoczenia, wśród którego się wyrosło, bez zrozumienia sztuki i jej dziejów — widok i najznakomitszego dzieła nie wywrze wrażenia, nie obudzi zajęcia,

nawet w pamięci nie utkwii. W braku tego przygotowania nawet wielka ciekawość tępieje i umysł nuży się rychło.

Na co się zda mówić komuś: oto Palladio, Sansovino, Tycyan,—gdy o nich, o ich dziełach, o kierunku i wadze ich twórczości jeszcze nigdy nie słyszał.—Dziś oglądniemy wiekopomną Wieczerzę Pańską Lionarda da Vinci! Co to będzie! Placi się wstęp, przechodzi kołowrót, otwiera się brama, ecco la Cena! Pasażer gotuje się do nadzwyczajnych wrażeń—i na widok jakichś wyblakłych resztek malatury na ścianie, w których niczego dopatrzyć się nie można, czuje się zawiedzionym. Ilużto turystów przebiegających w pośpieszonym tempie galerye weneckie, florenckie i rzymskie, nudzi się wybornie; jeśli ich co zajmie, to chyba treścią drastyczna fabuła obrazu. Ich by więcej zajął gabinet figur woskowych. Spotkałiśmy i takiego, który rozgladnąwszy się pobieżnie po pierwszej sali galeryi Watykańskiej pożegnał towarzyszy i—poszedł do domu. Przeważna część turystów, o których mowa, a którzy z obowiązku tylko, ze znużeniem i znudzeniem zwiedzają galerye, z prawdziwą przyjemnością zdąża do restauracyj, a po wrazeniach dnia mówi sobie jak Korukin Lejkina: co też tam w domu moja stara robi? pewnie czaj pije! A dla zadokumentowania swych artystycznych wiadomości — zakupują za grube pieniądze jakieś niby na Forum wykopane zabytki, będące wyrobem dni naszych z obliczeniem na głupotę forestierów.

Żądanie, by w powyższych warunkach oglądane dzieła artystyczne miały tem samem przyczynić się do estetycznego wykształcenia i porwać za sobą w sferę ideałów, jest co najmniej dziwne. W tem chybiły zamiary rady familijnej, i o to się zabiegi mentora rozbiły, że się obaj z uczniem nie rozumieli. I stało się podobnie jak w pewnej szkole, że na zapytanie nauczyciela, ile mucha ma nóg, odpowiedział żydek pytaniem, czy pan profesor niema większego zmartwienia?

Zanim Gucia „pocziwego chłopca“ opuścimy na zawsze, należy oddać mu zasłużoną pochwałę. Mógł być mniej, a przynajmniej nie tak głośno ziewać, za to więcej dostosować się do swego mentora, wrażeń nieco pochwycić, choć parę nazwisk i słyszanych frazesów zapamiętać i—błagować za powrotem. Nic z tego. Zaletą, którą mu słusznie przyznać należy, było, że był szczerym i co czuł to powiedział, a za nawias wysuwał, co w zakres jego pojęć i upodobania nie wchodziło. I gdyby według skali znajomości sztuki ustawić ludzi począwszy od archeologów i estetów, nasz Gucio stanąwszy musiał na szarym, ale nie na ostatnim krańcu. Miejsce to bowiem należy takim, którzy nic albo niewiele więcej od Gucia umiając, znajomością sztuki się chwala i na znawców pozują.

A takich jest legion.

Dziwna rzecz! Gdy nikt nie występuje z koncertem, jeżeli grać nie umie, gdy nikt nie podejmuje się np. zrobienia obuwia bez odbycia prakty-

ki, gdy nikomu na myśl nie przychodzi brać się do wykonania rzeczy, której się nie uczył, jedna tylko sztuka uważaną bywa za nadgraniczną prowincję, którą byle kto pustoszyć może, za przedmiot nie wymagający studyów, nauki i pracy, za pole popisów i nad wszystko wybujałej frazeologii.

Przyczyną tego zjawiska, obok zwyczajnej gadatliwości ludzkiej i skłonności do popisywania się z popadaniem w exaltację lub wymyślanie—może być ta okoliczność, że sztuka tak bliską, jest dla wyobraźni, że mianowicie malarstwo dziwnie zrozumiałym dla wszystkich przemawia językiem, sama tedy zdaje się w sobie przystępną i łatwą.

W rzeczywistości, jak każda umiejętność, ma i sztuka swe trudności i wymaga ścisłych studyów celem objęcia i zgruntowania przedmiotu.

Już sama podstawa sztuki: Estetyka, trudną jest, co się ztąd pokazuje, że brak podręczników, któreby jej elementa dla uczących się przystępnie przedstawiały. Dzieła estetyczne, często bez fachowej znajomości sztuki i czysto z filozoficznego punktu widzenia pisane, a co gorzej, subiektywnemi zapatrywaniem autorów zabarwione, grzeszą wogóle gadulstwem, i w przedstawieniu zasad estetycznych i nawet ich pojęć, co jest piękno? co jest sztuka? jakie jej zadania? rozbiegają się w skrajne poglądy.

Nikt nie zaprzeczy, że dwa a dwa to cztery; w sztuce dowiodą ci, że pięknem jest wszystko, cokolwiek artysta przez pryzmat ducha swego

obaczy i odtworzy, że sztuka z moralnością niema żadnej styczności, albo że w sztuce treść nic nie znaczy, forma wszystko i t. p.

Zasady takie przez nowoczesnych estetów wygłaszane, mimo sprzeczności ich z zapatrywaniem największych mistrzów sztuki, muszą oddziaływać w pracowniach artystycznych i popychać adeptów sztuki w kierunkach z sztuką niewiele lub nic wspólnego nie mających.

Były czasy, że przedstawienie Madonny uważano za szczyt sztuki. Nie bez racji zmodyfikowano później to zapatrywanie w tym kierunku, że dobrze namalowany burak lepszy od źle namalowanej Madonny. Dziś pod wpływem nowoczesnej Estetyki dominuje między wielu artystami zdanie, że i źle namalowany burak zawsze jest lepszym nawet od dobrze namalowanej Madonny.

E pur si muove! I tak wiekuiste Piękno w sztuce wyrażać się, i w chaos poglądów, żądz i uczuć ludzkich w ciemniach dusz spoczywających, światło, ład i porządek wprowadzać a ludzkość podnosić i uzacniać będzie. Zaś z emfazą wygłaszane zasady nowoczesnych estetów, pozostaną czem od początku były: subiektywnem zapatrywaniem.

O co nam głównie chodzi, że zasady pojęciu i zadaniu sztuki sprzeczne, wygłaszane przez odłam skrajnych estetów, a przez wielu artystów zastosowane, jakkolwiek z należytą odprawą ze strony fachowej się spotykają—mogą w głowach

estetycznie niewyrobionych czytelników, względnie spektatorów narobić—kaszy, i gotowi sądzić, że pod marką sztuki godziwem, pięknem, wielkiem i uznania godnem jest nawet to, co w życiu codziennem zowie się plugawem. Obniżają one nadto cześć dla sztuki i zrozumienie jej ze strony publiki. Artysta tworzy z zapalem, gdy wie, że w piersiach ludzkich znajdzie echo własnych idei, a pomysłów treścią lub formą niedojrzałych z ręki nie wypuści. Gdy treść nic, zaś forma wszystko znaczy, gdy sztuka tylko dla sztuki a dla nikogo i niczego więcej, gdy sztuka z etyką nie ma nic wspólnego t. j. z nią się rachować nie potrzebuje, i gdy wszystko piękne, co kto wymaluje, to pomijając już wszelkie etyczne względy zasady takie nie tylko obniżają samą sztukę, ale zrywają kontakt artystów z publiką i do reszty usuwają możność zrozumienia jej dodatniego wpływu jaki na ogół wywieraćby powinna.

Chcieliśmy jedynie zaznaczyć, że sztuka równie z innemi umiejętnościami wymaga pracy i studyów, a zaznajomienie się z jej zasadniczymi podstawami i dziejami, zorientowanie się w rozlicznych przejawach jej i kierunkach przedstawia może jeszcze większe trudności, i z tego powodu lekko jej brać nie należy, a tem mniej sądzić, że oglądanie wystaw i choćby celniejszych galerij w mig jej zrozumienie i zaniłowanie przyniesie i rozbudzi.

Płytkie zrozumienie sztuki i powierzchowność sądów o niej nieobliczoną szkodę przynosi zaby-

tkom artystycznym, t. j. skarbow sztuki z dawniejszych czasów pochodzącym, które się dotąd między nami przechowały. Są to poważne świadki przeszłości narodu, pracy, dążeń i miłości społeczeństwa, które je wydało i gromadziło, spuści-
zną i dobytkiem potomnych.

Niszczy je żąb czasu, ogarnia pożoga, dybią na nie spekulanci i najmici bankierscy, chciwość upatruje w nich zdobycz swoją i przetapia je na kruszec; tak czy tak, dla nas giną na zawsze.

A powodem głównym zguby ich jest nieznamość ich znaczenia i wartości. Tam tryptyk stary, przed którym schylały się pokolenia wyrzucono z kościoła, aby zrobić miejsce bezstylowej partackiej robocie, ówdzie złote aplikacje na ornacie, iż się postrzępiły pomalowano żółtą pokostową farbą, gdzieindziej wywieziono dwa wozy starych cennych aparatów i sprzedano żydom, aby mieć fundusz na nową statwę. Z pewnego dworu nad Wisłą wypożyczono na wesele cenne olbrzymie gobeliny, rozłożono je na podłodze i tańczono na nich do białego rana. Było i tak, że gobeliny poszły na ścierki... i t. p.

A przecież zabytki wszelkie: budownictwa, rzeźby, malarstwa i sztuki stosowanej, to świadki żeśmy byli, żeśmy z wykształconymi narodami kroczyli naprzód, to dowody starej kultury i duchowego bogactwa narodowego.

Sumą złożonego w nich artyzmu i całej sumienności wykonania i wieku zdają się prosić, co więcej mają prawo, by je uszanować i poto-

mności przekazać, należy się im pewien pietyzm i ochrona, a w razie potrzeby ratunek.

Przedemną leży pocztówka z widokiem portalu spalonego kościoła św. Jakóba w Sandomierzu, wydana przez komitet zajmujący się sprawą jego odbudowy.

Widoczek ten mówi, jak cennym okazem stylu romańskiego, a może przechodzącego w ostrołuk był ten kościół, jaki portal bogaty, jakie desenie z cegieł... I przyszła pożoga i zniszczyła go. Gdy grono poważnych ludzi zabiera się do jego odnowienia, świadczy tem o wielkiej miłości zabytku i ani wątpić nie można, że je ze znajomością rzeczy przeprowadzi.

Przychodzi mi na pamięć, co gaduła Tripplin w swych podróżach o Sandomierzu zauważył, że o zabytkach miasta nietylko kanonicy, ale i prości ludzie umieli mu opowiedzieć.

Wezwany aby czemś do projektowanej Jednodniówki na rzecz kościoła św. Jakóba się przyczynić, z łoża boleści się zwłóknem i parę nasuwających się uwag skreśliwszy przeselał z prośbą: Przyjmijcie słowo, a będzie to grosz wdowi!

Ks. Franciszek Leśniak
Kan. Tarnowski i Kustosz Muzeum.

Jednego razu zwiedzała Jadwiga w Bieczu kościół przez siebie założony.

Przy kościele tym był także szpital przez zacną i miłosierną królowę ufundowany i wyposażony tak, ażeby, każdemu potrzebującemu pomocy stał otworem.

Przechodziła wtedy Jadwiga z sali do sali.

Do każdego chorego odezwała się jakimś uprzejmem i życzliwym słowem, każdego pocieszyła serce wzmacniając ufnością w miłosierdzie Boże.

Aż przychodzi do jednej z ostatnich sal, gdzie leżeli najciężej chorzy i najnieszczęśliwsi.

Jednym jękiem były westchnienia tych biednych chorych i kalek.

Każda twarz chorego wzbudzała lęk i grozę tym wyrazem beznadziejnej rozpacz i tego bólu widnego w każdym rysie i tchnieniu.

Lecz między najnieszczęśliwszymi oto na ostatnim łóżku, pod ścianą leżał jakiś nędzarz.

okryty ranami, obryzgany krwią, z zamkniętymi oczyma.

Łachmany wstrętne okrywały jego ciało, a z ran ropiących się wydobywała się wstrętna, cuchnąca woń, tak, iż dozorczy szpitala omijali go i pozostawiali bez opieki, bo nie mogli przełamać wstrętu i zbliżyć się do niego.

Jadwiga zatrzymała się, skoro ujrzała opuszczonego nędzarza.

— Dlaczego pozostawiono go bez opieki?

— Miłościwa Pani! tłumaczy się dozorca, niepodobna zbliżyć się do niego, cuchnie tak i tak jest wstrętny, iż w omdlenie wpadają ci, którzy chcą mu dopomóc — niedawno tu przybył i nazwiska swego nie chce wymienić.

Jadwiga lekko zachmurzyła czoło, zawinęła rękawy, królewskiej swej szaty i rzecze:

— Dajcie wody i maście gojące.

Ze zdumieniem patrzą wszyscy.

Królowa rany nędzarza obmywa, maścią smaruje, i obwiązuje czystym płótnem.

Ani znać jednego rysu niechęci lub wstrętu, ani znać, jakoby to jej z przykrością przychodziło wykonać, a jednak nawet ci, co z daleka patrzyli na rany nędzarza, omdlewali ze wstrętu i przykrego widoku. Chorzy dźwigali się na posłaniach, aby przypatrzeć się tej pełnej poświęcenia pracy.

I dziwo wszystkich ogarnia.

I oczy sobie przecierają, nie wierząc, czy to prawda, co widzą, czy to majaczenie, czy to złuda, czy istny cud... bo oto nędzarza ciało na-

biera jakowejś jasności, staje się piękne i zdrowe, a oblicze jego wypogadza się — jak słońko świetlane.

Spostrzegła to i królowa Jadwiga.

Zdumiona niespodzianem zjawiskiem, pochyła się nad nędzarzem i pyta:

— Kto ty jesteś biedny człowieku?

Lecz nędzarz milczy...

Oblicze jego staje się piękne niezwykłym urokiem, usta uśmiechają się lekko i mile.

Jadwiga raz jeszcze pyta z lękiem:

— Kto ty jesteś, biedny nędzarzu?

A chory znika w jednej chwili cudownie tylko na pościeli zostały owe płótna, któremi Jadwiga rany jego obwiązywała.

Uklękła przy łożu królowa i modliła się w ciszy długo, serdecznemi zalewając się łzami.

Uklękli przytomni zdumieni cudownem zjawiskiem, Bogu dziękując, że Świętą Panią na Polski, Rusi i Litwy przeznaczył królówę.

Łóżko to odtąd było przechowywane w szpitalu w Bieczu jako pamiątkowe i nigdy żaden chory na niem nie leżał.

Tak w drodze poświęceń i ofiar Jadwigi wschodziły błyski cudownych łask i zdarzeń.

I dziś Polska, jak Łazarz w łachmanach, rozciągnięta na łożu boleści i niemocy, ranami okryta, obryzgana krwią dzieci swych własnych, męczonych i katowanych za wiarę i ojczysty pacierz,

czeka i trwożnie pyta, błagalne wyciągając dłonie, kiedy do jej łoża zbliży się ta cudna piękna postać Jadwigi królowej, świetlanej aureolą, co otacza chóry Błogosławionych w niebie, kiedy szaty brudu i zbrodni co Polską okrywają ziemię zmieni na jasną suknię cnoty i dobra, kiedy rany samolubstwa przykładem poświęcenia zagoi, a krew, wysączoną jadem nienawiści — wzorem miłości bratniej zmyje i niemocną całkowicie uleczy?

Kiedy nastąpi taka chwila?¹

W. Bandurski
Biskup-sufragan lwowski.

¹ Rozdział z rozpoczętej opowieści dziejowej p. t. „Święta królowa“.

Zycie człowieka jest zwykle pasmem chwil szarych, chmurnych i jasnych. Oczywiście od indywidualizmu duszy ludzkiej zależy w znacznej mierze skala odczucia każdego bólu i każdego szczęścia. Dla człowieka np., który stracił zdrowe pojęcie o konieczności pracy, każda praca jest pewnego rodzaju niedolą, która zachmurza wszystkie dni jego życia oprócz tych w których oddaje się próżniactwu. Taki człowiek jeżeli nie ma zaszczipionych przez matkę i szkołę zdrowych pojęć o złem i dobrem, a stracił wiarę w Boga i nie ma środków niezależnego bytu, zostaje zawodowym „anarchistą-komunistą”, czyli poprostu bandytą, żeby z zasobów — mrowiska ludzi pracujących czerpać sposoby do własnego życia bez pracy.

Ale na szczęście jest kategoria innych ludzi dla których praca stała się prawdziwym nalogiem, dla których gdyby istniał tylko ośmiogodzinny dzień pracy, byłby prawdziwą niedolą

z powodu swej krótkości, dla których wszystkie chwile przymusowej bezczynności są jeżeli nie ciemne to szare, a chwile pracy są tylko jasne. Do takich dziwaków należy niżej podpisany, który pomimo najrozmaitszych kłopotów życiowych zawdzięcza sobie niepospolite bogactwo chwil jasnych.

Ale i wśród tych ostatnich zdarzają się mu niekiedy momenty jaśniejsze od innych, a nawet bardzo jasne. Do takich zalicza chwile w których otrzymywał listy od ziomeków zamieszkujących gdzieś pod biegunem lodowatym w Azji, lub daleko poza światem w Afryce, Australii, Ameryce, proszących o podarowanie ich dziatkom *Encyklopedyi Staropolskiej*, aby w duszach młodocianych przy jej pomocy mogli uratować święte poczucie narodowości. Oto np. z miasta Punta-arenas ostatniego w Ziemi Ognistej na południowym krańcu Ameryki południowej pisał niejaki Adolf Kwaśny: „Przepraszam pana że doskonale po polsku nie piszę, ponieważ jestem górnoszlązakiem”. Dalej mówi o sobie że nigdy w Polsce nie był bo dzieckiem wyjechał ze Szląska do Ameryki, ale przeczytał powieści Sienkiewicza po hiszpańsku i pragnie być polakiem, a chce to urzeczywistnić przez nauczenie się wszystkiego co znajdzie w *Encyklopedyi Staropolskiej* którą jakaś gazeta polska wychodząca w Ameryce ludziom dobrej woli bardzo polecała. Wysłałem pocziwcowi nie tylko *Encyklopedyę* moją, ale i dzieła Sienkiewicza po polsku. Radości swej

opisać nie umiał. Prosił abym „pana Sienkiewicza uściskał serdecznie za ręce i pozdrowił w jego imieniu. Chciałem mu — pisze Adolf Kwaśny — napisać, lecz nie mam adresu, jakie mnie-
manie mają tutaj ludzie o jego wielkich pismach i jak źle są przetłumaczone na język hiszpański. Po otrzymaniu 3-ch tomów Encyklopedyi Starop. pisał: „Niech pan będzie łaskaw przysłać mi ten ostatni tom na który tak oczekuję jak kot na mysz“. Po otrzymaniu tomu IV-go wezbrane uczucie w zacnej duszy szląskiej doszło do punktu najwyższego, więc też list swój zakończy: „Niech Pan Bóg da panu zdrowie, szczęście i po-
myślność tutaj na ziemi i niech zaprosi na Niebieskie Bankiety które już nigdy nie ustaną“. A jednak i życzenie to było dla mnie chwilą, jedną z najjaśniejszych bo było najszczerzem, na jakie tylko prosta dusza polska zagnana na kraniec świata zdobyć się mogła.

Zygmunt Gloger.

„W pocie, czoła pracować będziesz...”
(*Genesis III — 18*).

O palce, palce białe, wypieszczone,
palce — marzenie,
czy wy nie drżycie gdy wami wzniecone
powstają cienie
rąk innych wkrąg?
rąk bratnich,
spracowanych rąk,
o, ręce białe...

.

Ach, ruszcie wy się z aksamitów życia
w blaskach kamieni,
dotknijcie tętna bolesnego bicia
ludzkich cierpieni —
poznajcie wy
jak piekłą
głodu, nędzy łzy!
o, ręce białe...

.

Tak zostać, ciszy oplątane matnią
nie macie praw! —
gdy wkoło woła was Niedola bratnia,
Niedola krwawa —
gdy tyle smug
życiowych
porósł cierni i głóg,
o, ręce białe...

Nina Spasowiczówna.

Lemieszówka
październik 1903.

NA CZEŚĆ ŚW. KONSTANCYUSZA B. I M.

H Y M N

OJCA ŚW. LEONA XIII.

Kościół otwarty. Grób Konstancyusza
Gore od światła. O ludu boży!
Na cześć Świętego niech dziś twa dusza
Wdzięczny hymn złoży!

Oto Jowisza czezemi pioruny,
I bezbożnymi wżgardziwszy czary,
Pod miecz katowski i w ognia łuny —
Idzie mąż wiary!

Kipią już kotły! — bucha żar ognia!
Dyszy tłum ludu! — a Pretor każe:
„Naprzód liktorze!” i tego zbrodnia,
Utop w tym warze!

Topił — lecz woda ledwo stóp sięgnie,
Chłodną kąpielą orzeźwia członki —
Tak, jak ten strumyk, co w cieniu biegnie
Śród kwietnej łąki!

I tłum zdumiony zamilkł w popłochu!
Zgrzyta zębami Pretor wyśmiany;
I nowy rozkaz daje: „Do lochu!
Zakuć w kajdany!”

Daremne więzy! Apostoł wiary
Uczy swobodny i słodko każe —
Aż rozrzewnione, piekła błąd stary,
Rzucają strażel...

Wścieklej tyrana zawrzał gniew srogi,
Świętego Męża każe sieć knuty, —
Ranić żelazem i rwać do nogi
Łańcuch przykuty!

I gdy tych tortur furyi zawrzało —
Za pogardzone bóstw swych ołtarze,
Z dzikiem przekleństwem niewinne ciało
W sztuki ciąć każe!

Legł trup na ziemi, martwy, bez życia!
Zaledwo jednak słońca promienie
Zbladły — odważnie weszedł z ukrycia
W podziemne cienie.

Dzielny Lewianus: pozbierał z ziemi
Rozpieszczone członki z odciętą głową,

I ze czią złożył rękami swemi,
W urnę grobową!

O! dziwne cuda! Męczeńskie zwłoki
Biorą na barki czterej ściemniałi,
Lecz ledwo pierwsze stawili kroki,
Wzrok odzyskali!

Tak wrócił Pasterz do swej ojczyzny
Ze złotym wieńcem i palmą w dłoni!
Z koroną chwały za krwawe blizny
Wrócił u skroni!

O! świątyń Umbryi patronie drogi!
Na Twą ojczyznę poglądaj mile —
Tak upragniony wróć pokój błogi,
I szczęścia chwile!

Ty! który grodu Twego Pasterza,
Wspólnika Twojej mytry i znoju
Światłem i łaską, przez skał bezbrzeża,
Wiodłeś w pokoju —

Dziś, gdy sterując nawą Piotrową,
Płynie śród wzdętych fal oceanu —
Z nadzieją w sercu, z wzniesioną głową
W niebo! ku Panu —

Spraw — niech zwalczywszy burz huragany
Leon-Zwycięzca ujrzy ląd nagle!
Niech zwinie w porcie okręt miotany
Spokojne żagle!

X. Alf. Bułakowski.

Na bretońskim wybrzeżu szalał wicher z północy,
Łamał drzewa a liściem siał w dale,
Z chat rybackich rwał dachy i wyrzucał jak z procy
Chmury piasku brzeżnego we fale.

A na falach ryczących i spiętrzonych jak góry
Widać łódkę i chłopiąt w niej dwoje...
To znikają gdzieś na dnie, to znów lecą gdzieś
[w chmury...
Chwila jeszcze — a zginą oboje.

Starszy łódki się trzyma, chociaż ledwie już żyje,
Zamknął oczy struchlały i niemy;
Młodszy brata oburącz objął w strachu za szyję
I drżąc mówił raz po raz: „Zginiemy!...”

A nad brzegiem niewiasta u stóp krzyża klęczała,
Ramionami objęła podnóże,
To znów w niebo błagalnie z strasznym jękiem
[wołała:
„Boże! Dzieci mi ratuj — o Boże!

Ach — Tyś taki wszechmocny! Wszak Tyś nieraz
[już morze
Jednem słowem poskramiał, o Paniel
Jam sierota, jam sama... to me wszystko, o Boże!
Rzeknij słowo, a cisza się stanie!..."

I tak łkając i we łzach wylewając swe żale,
Ponad brzegiem się schyla topieli,
I łza jedna jej pada — łza matczyna — we fale...
Te łzy ważą w niebiosach anieli...

I patrz — ustał huragan, zcichła morza toń siwa,
Ziemia blaski słoneczne przywdziała...
A za chwilę — wraz z dziećmi biedna matka
[szczęśliwa
U stóp krzyża z radości płakała...

To legenda... lecz życie to burzliwa zbyt fala
I wciąż takie bywają wypadki:
Bo też takich Bóg słucha, dla nich dzieci ocala,
Czeka na nie... Więc płaczcie o matki!...

A Ty, Matko w niebiosach, Ty najczulsza wśród matek,
Patrz, jak giniem w tej życia powodzi,
Jak nas fala zalewa, jak sił tracim ostatek
I nie możemy skierować już łodzi!

Matko, ratuj i za nas nieś wciąż Bogu litości
I łzy twoje i twoje boleści,
Aż Cię grono twych dzieci tam na brzegu wieczności
W twych najśłodzych objęciach upieści!...

Ks. Władysław Czencz, T. J.

SĄDY PRZYSIĘGŁYCH W STAROŻYTNEJ

GRECY ZA CZASÓW SOLONA.

Współczesne nam sądy przysięgłych, zaprowadzenia których kraj nasz od lat wielu napróżno oczekuje, chociaż w innej nieco formie, znane już były w zamierzchłej starożytności.

Typowym sądem przysięgłych były sądy Heliasłów w Atenach, zaprowadzone przez Solona i oparte na zasadach demokratycznych. Każdy atenczyk mający trzydzieści lat wieku, używający dobrego imienia i nie będący nic dłużny skarbowi, miał prawo być członkiem trybunału Heliasłów. Corocznie wybierano sześć tysięcy takich obywateli. Z tej liczby dopiero losowano komplety sędziów. Wybrani dzielili się na dziesięć kompletów, stanowiących tyleż trybunałów, które rozpoznawały sprawy oddzielnie lub w połączonym składzie. W sprawach szczególnej wagi skład trybunału dochodził do 6,000 sędziów.

Na posiedzeniach przewodniczył jeden z archontów (urzędników), który jednak w głosowaniu żadnego udziału nie brał. Przed rozpoczęciem posiedzenia każdy z sędziów wykonywał przysięgę podług następującej formuły:

„Przysięgam, że głosować będę podług ustaw i dekretów ludu ateńskiego i Senatu Pięciuset. Nie będę pobłażał ani tyranii, ani oligarchii, ani obaleniu władzy ludowej, ani czemubądź, co by ją mogło naruszyć. Nie przywołam do kraju żadnego bannity lub skazanego na śmierć. Nie skazę na wygnanie i nie pozwolę, aby którykolwiek obywatel był wygnany wbrew prawom i postanowieniom ludu i senatu. Nie przyjmę datków aby wymierzyć sprawiedliwość i nikt z moją wiedzą nie weźmie ich dla mnie, pośrednio lub bezpośrednio, pod jakim bądź pozorem i jakim bądź sposobem. Wysłucham z równą bezstronnością oskarżenia i obrony i z dobrą wiarą głosować będę w tej sprawie. Tak przysięgam na Jowisza, Neptuna i Cererę. Niech ci bogowie ukarzą mnie i moją rodzinę, jeżeli złamię przysięgę! Ale jeżeli dotrzymam, niech mnie i moich wszelką, pomyślnością obdarzą“.

Po wykonaniu przez sędziów przysięgi, otwierano posiedzenie, które odbywało się publicznie. Postępowanie sądowe było akuzacyjne: rozpoczęcie procesu tak cywilnego, jako też i kryminalnego zależało od skargi. Wszelkie akcje dzieliły się na prywatne i publiczne. Prywatne mogły wytaczać tylko strony interesowane, pu-

bliczne zaś, to jest odnoszące się do czynów naruszających porządek publiczny, czyli skargi kryminalne, miał prawo zanosić każdy obywatel.

Po przywołaniu sprawy przez herolda, odczytywano treściwy jej stan, aby dać sędziom ogólne o niej wyobrażenie. Oskarżyciel popierał skargę, oskarżony odpowiadał na zarzuty, wreszcie sąd badał świadków, słuchał obron i rozpatrywał pokładane dowody. Po ukończeniu rozprawy, herold wzywał przysięgłych do głosowania, które było sekretne. Sędziowie rzucali do urny gałki, z których czarne oznaczały głosy potępiające, białe uwalniające oskarżonego. Wyrokowano prostą większością głosów, w razie równości oskarżony był uwolniony. Głosowanie było pojedyncze lub podwójne. Głosowano raz tylko, gdy szło jedynie o wyrzeczenie co do winy oskarżonego. Wotowano zaś powtórnie w tych wypadkach, gdy prawo nie oznaczało wyraźnie kary i gdy zachodziła wątpliwość czy wymierzyć tę, jakiej domagał się oskarżyciel. Pod tym względem sądy Heliastów zasadniczo różniły się od współczesnych nam sądów przysięgłych, które orzekają tylko co do winy podsądnego, wymierzenie zaś kary zawsze jest atrybucją sędziów koronnych.

Wyroki trybunału Heliastów były ostateczne. Żadna apelacja od nich stronom nie służyła.

I. Pawiński.

P O S K A R B.

BAJKA.

Na niebie polskiej ziemi szary ukazał się przed-
świt.

Na powleczonym ołowianemi chmury horyzencie groźne jeszcze przelatują błyski i słyszać ponury pomruk grzmotu, ale woń odświeżonego powietrza zdaje się wróżyć, iż odrodzenie życia niesie ów bliski poranek wiosenny, za którym przyjdą skwary letnie i jesień owocna.

W taki to czas, gdy wśród pogrążonego w ciężkim śnie ludu tylko czujniejsi pracy się imać zaczęli, lecz zato wszystkie ptaszki na przeróżne tony próbowały świergotać, — z za drzew, z za domów, z za równin i gór poczęli schodzić pielgrzymi, którzy zdawali się w półciemnościach jeszcze szukać czegoś, nie wiedząc dobrze, w którą zwrócić się stronę.

Niektórzy z nich prowadzili za sobą ludzi innych, niektórzy całe gromady.

I tak idąc i potykając się, poczęli się owi ludzie klócić z sobą, mówiąc: „bracie, pocóż ty idziesz i czego szukasz? ażaliż nie dosyć będzie gdy ja to uczynię?” Zaż inny mu odpowiedział: „bo ty fałszywym kroczyłbyś torem, a drugi i trzeci także, boć ja i moi towarzysze tylko tajemnice prawdziwych dróg znamy, a inne ścieżki błędne są”.

I wszczęła się kłótnia sroga, rzucano obelgi i wydzierano sobie sztandary, których się namnożyła moc wielka, iż były i czarne, i białe, i czerwone, i zielone.

A wtedy wszystkie gadziny tej ziemi, a także i z ziem obcych podpełzły, aby kąsać zwaśnionych i plwać na tę ziemię, która aż czerwona się stała od krwi, zaś niebo zrobiło się znów czarne od złości ludzkiej. Powietrze stało się parne i zdawało się ludziom, iż lada moment coś strasznego się dokona: ziemia ich pochłonie, albo ogień niebieski ich spali. Aż oto rozświtło nagle i między zwaśnionymi stanął król — duch tej ziemi.

Nie miał on korony, ani złota, ani pereł na sobie. Znękana postać to była, a tylko na wychudłym obliczu świeciły dwa brylanty — dwie wielkie łzy brylantowe.

I rzekł on: — przecz to synowie moi zwadę czynicie i gdzież to dążycie w tak licznej, a lужnej gromadzie? A usłyszawszy te słowa wszystkie gadziny i wyrodne dzieci pomknęły oden precz, aby tam snuć dalej robotę podziemną.

zaś pozostali wyciągnawszy dłonie poczęli wielkim wołać głosem: — szukamy, panie nasz, skarbu, co go dziadowie nasi zatracili, a zaborcy oddać nam nie chcą. Rozdrobnion on jest na części i w różnych przechowywany miejscach, a teraz dążymy w świat ten ku łodom północy, bo nam mówiono, iż stamtąd największą część skarbu przywieźć można.

— Pięknie to jest, lecz czemu zwadę czynicie? — pytał król.

— Bo jam to jedynie drogi świadom, więc prowadzić ich chcę, — rzecze jeden. — Nieprawda, ja jeno drogę znam, coż kiedy oni słuchać mię nie radzi, — mówił drugi.

— Nie wierz im panie bo moja tylko jest prawdziwa, zaś tamte błędne, wołał inny. Lecz byli i tacy, co nie mówili nic, tylko kij pielgrzymi trzymając w ręku, czekali, zda się, co im król rozkaże.

I rzecze wtedy, król: — uciszcie się. Wy skarbu nie znajdziecie, póki nie oczyścicie dusz waszych, póki nie będą one jednakie miłością, a jednemi też dążenia wasze, jakoże po skarb jedna tylko droga jest, której nie znacie. — A na to zawołano głosem potężnym: — Tedy ową drogę wskażże nam panie, — a król mówił znowu: — sami ją ujrzycie... Stańcie przed zwierciadłem dusz i tam się przejrzyjcie, a kto plamy na duszy swej nie ujrzy, tego droga dobra jest.

A gdy to mówił ujrzeli nagle przed sobą taflę szklaną, na której każdy z pielgrzymów zo-

baczyć mógł swą postać. I pierwszy, który się przejrzał, zobaczył, iż w miejscu, gdzie serce być powinno, w zwierciadle czarna plama była, więc strwożony pytał: — panie cóż to znaczy? — a z zwierciadła głos mu odrzekł: — nieczysta jest dusza twoja, albowiem idąc twą drogą nietylko o skarbie twej ziemi myślisz, ale i o własnym skarbczyku i gotów byś ze skarbu coś uronić, byle doczesną możność twą zachować, i gotów byś obcym bogom się kłaniać, byle tłum szary tobie bił pokłony.

A drugi pielgrzym patrząc w zwierciadło na sercu swoim ujrzał rdzę i zdziwił się niepomału: — jakżeż to jest? jam myślał, iż ja tu jeden właściwą drogą wiodę, umiowałem lud ten i na ołtarz całopalny ofiary dałem, a zwarty tłum za mną idzie, — zaś głos mówił: — Pychą i nienawiścią grzeszysz. Nie sądź, iż droga twoja w chwalebnych zamiarach poczęta najlepszą być ma, a gdy miłujesz ziemię twą, miłuj i błądzących ziemi tej synów, miłuj i obcych, i sąsiadów i tych, co tobie wrogami są.

A kiedy trzeci spojrział i w zwierciadle plamę wielką zobaczył, wtedy już nie pytał, a głos sam się ozwał: — Chciwy władzy, bałwana sobie ulepiłeś, który „gmin“ się nazywa i temu się kłaniasz, bo chcesz, by on panował, a ty zaś byś nim rządził. Doktryna bogiem twoim, zaś ziemia, po której stąpasz nie jest ci najdroższą. Tak to po kolei przyglądał się pielgrzymów szereg długi, a zwierciadło mówiło... i jeden tylko

pielgrzym na boku stał nie kwapiąc się wcale, aż wreszcie zawołano nań: — stań i ty przed zwierciadłem, iż myślisz może, iżes jest sprawiedliwy.

I pielgrzym stanął, a postać jego odbiła się jasna jak z kryształu i nie ujrzano na niej plamy, ani skazy żadnej, więc dziwowano mu się wielce, jakoteż przyglądano z żalem, a zawiścią, zaś zwierciadło mówiło znowu: — Ten ci jest syn sprawiedliwy tej ziemi, a droga jego jest dobrą. Patrzcie jak serce jego goreje; kocha on matkę naszą i kocha wszystkie jej dzieci i nie kij pielgrzymi ma w rękę, ale łopatę, bo, zaprawdę, skarbu nie przyniosą wam ze świata, ni z północy, ni z południa, ani ze wschodu, czy też zachodu, — skarb dobędziecie z tej ziemi, gdy ją skopiecie łopatami całą, gdy lud z niej zakłęcia przyjmie i siły z niej wchłonie.

A po tych słowach przestano waśnić się o drogi i kierunki i pracowano społem, a słońca na niebiosach złote promienie krzepiło w sercach nadzieje.

Tak było w bajce, ale czy tak będzie w życiu?

Witold Kamocki.

CZTERY AKTY UROCZYSTE Z ŻYCIA FRANCISZKI TARŁÓWNY

ZAKONNICY I KSIENI KLASZTORU PANIEN BENEDYKTYNEK W SANDOMIERZU.

Ciche i monotonne było życie dawnych polskich klasztorów żeńskich, czasem jednak tę ciszę i monotonność przerywały i urozmaicały uroczystości kościelno-klasztorne, w których nieraz oprócz zakonnic brała udział szlachta, a nawet wybitniejsi dygnitarze państwowi. Kronika i metryka zakonna, pp. Benedyktynek sandomierskich wspominają o takich uroczystościach, szczegółowo zaś opowiadają tylko o czterech aktach uroczystych z życia najprzód zakonnicy, a potem ksieni Franciszki Tarłówny.

Tarłówna była córką Stanisława, wojewody lubelskiego i Teresy Borkowskiej, kasztelanki połanieckiej; wstąpiła do klasztoru pomimo oporu rodziców, którzy marzyli dla niej o karierze świeckiej, w r. 1703, mając lat 15. Pierwszym aktem uroczystym w jej życiu były obłóczyny. Akt ten odbył się w następujący sposób.

W furcie, przez którą miała przechodzić Tarłówna, stała panna przebrana za anioła z wieńcem w rękę, który jej oddała z krótką przemową, obiecując koronę w niebie. Prowadzili Tarłównę do ołtarza Drzewiecki, kasztelan lubelski i Siemianowski, chorąży sandomierski. Tarłówna niosła świecę gorejącą, mającą oznaczać miłość ku Bogu. Podczas sumy, odprowadzanej przez biskupa łuckiego Wyhowskiego i kazania, nowicyuszka siedziała w ławce na środku kościoła wśród 24 zapalonych świec, wstając trzykrotnie dla złożenia ofiar. Pierwszą z tych ofiar były pieniądze, rzucone po kazaniu na tacę, na znak wyzbycia się bogactw za przykładem ubogiego Chrystusa; drugą ofiarą był wieniec, który panna młoda zdjęła sobie z głowy po „Sanctus“ i włożyła go na głowę Chrystusa, czyniąc przy tem akt wyzbycia się własnej woli i ochotnego posłuszeństwa; trzecią wreszcie ofiarą był pierścień, który Tarłówna zdjęła ze swej ręki, a włożyła na palec Panu Jezusowi na znak nieodmiennej i czystej intencji służenia swemu oblubieńcowi. Po sumie zaśpiewano „Veni Creator“, poczem kasztelan Drzewiecki oddawał przy kracie pannę młodą zgromadzeniu, a Kurdwanowski, podstoli halicki przyjmował ją i dziękował imieniem zgromadzenia. Następnie kratę zasłoniono i ksieni Chrzastowska oblekła kandydatkę w habit przy odpowiednich modlitwach. Uderzono dalej we wszystkie dzwony, panna młoda upadła krzyżem na znak, że umiera światu, a poczyną żyć Bogu. Wreszcie zaprowadzono kan-

dydatkę do nowicyatu, gdzie ksieni wypowiedziała do niej egzortę i oddała ją na ćwiczenie mistrzyniom.

Upłynęło lat 23 od tych obłóczyn, zgromadzenie Benedyktynek przystępowało do wyboru nowej ksieni po śmierci Trzecieskiej. Po otrzymaniu od biskupa Konstantego Szaniawskiego innotescencyi z oznaczeniem dnia elekcji zaraz rozpoczęło modlitwy do Ducha św. i odbywało je codziennie do samego wyboru. W dniu elekcji wszystkie zakonnice odbyły spowiedź, przyjęły komunią św. i wysłuchały mszy o Duchu św. Po mszy komisarze biskupi ks. Marcin Żeromski, kanonik krakowski i warszawski, audytor biskupi, ks. Cyprian Langa, kanonik sandomierski, ks. Wojciech Morsztyn, kanonik kamieniecki, komisarz Benedyktynek sandomierskich weszli za kratę i zamknęli się z zakonnicami. Tu jeden z komisarzy wypowiedział egzortę do zakonnic, zalecając im, aby „bez respektu obierały przełożoną”. Następnie komisarze usiedli na środku kaplicy przy stoliku, na którym stał przygotowany krucyfiks, kałamarz i papier. Najprzód podeszła do nich przeorysza, dając swój głos i listy z wotami od ksien innych klasztorów Benedyktynek reformy Chełmińskiej, po przeoryszy przystępowały kolejno wszystkie inne zakonnice, również dając głosy. Kiedy się głosowanie skończyło, wszystkie zakonnice wyszły z kaplicy, została tylko przeorysza z dwoma siostrami, aby odprowadzić komisarzy do refektarza. Gdy się zakonnice

wszystkie zebrały w refektarzu i komisarze tam przyszli, jeden z nich znowu wypowiedział egzortę i wymienił nazwisko wybranej, którą była Tarłówna. Nastąpiło teraz oddanie nowej ksieni reguły, kluczy od klauzury i pieczęci klasztornej na srebrnej miednicy. Poczem na znak dany przez komisarza nowa przełożona usiadła na krzesle, a wszystkie zakonnice podchodziły i oddawały jej posłuszeństwo, kłaniając się do nóg. Po skończonem homagium całe zgromadzenie udało się parami do chóru, mając na końcu przełożoną w otoczeniu komisarzy. Na chórze jeden z komisarzy zaintonował „Te Deum“, które całe zgromadzenie śpiewało. Uderzono w dzwony, odśpiewano kolekty i na tem się elekeya zakończyła.

W niespełna cztery miesiące po tych wyborach odbyła się na instancją Tarły konfirmacya na ksienią jego córki. Na akt ten zjechał sufragan krakowski Michał Kunicki. Ceremonie obrzędu odbyły się w następujący sposób. Podczas sumy po epistole wyszła na kościół ksieni bez pastorału, trzymając tylko w ręku ślub. Do ołtarza prowadzili ksienią ojciec jej wojewoda Tarło i Morsztyn, wojewoda inflancki i asystowały jej dwie zakonnice. Gdy przyszła do ołtarza, uklękła przed biskupem, odmówiła głośno formułę ślubu, po tem upadła krzyżem na stopniach ołtarza po lewej stronie biskupa i leżała przez całą litanię do wszystkich świętych, podczas której to litanii biskup ją błogosławił. Następnie podniosła się i klęczała, a biskup kładł

jej ręce na głowę, odmawiał różne modlitwy, oddał regułę, pastorał, a wreszcie włożył jej pierścień na palec. Po tych ceremoniach odeszła ksieni do pobocznych ławek i usiadła. Siostry zakonne asystujące stały przy niej; jedna z nich trzymała pastorał, druga — regułę. I tak słuchały mszy i kazania. Komunię przyjęła tylko sama ksieni z rąk biskupich, poczem klęczała przed ołtarzem. Po mszy biskup w infule posadził ksienią na krześle po stronie epistoły i zaintonował „Te Deum“. Po prześpiewaniu tego hymnu ksieni z asystentkami wróciła za kratę, dokąd się udał i biskup czytając modlitwy z pontyfikatu. Ceremonie zakończyły się złożeniem przez zakonnice posłuszeństwa ksieni.

Z powodu tej uroczystości Tarło przez trzy dni gości i zgromadzenie „pańsko traktował“.

Upłynęło znowu lat 28, w r. 1755 na Matkę Boską Gromniczną wypadała 50 letnia rocznica profesyi Tarłówny. Całe zgromadzenie pragnęło, aby „najukochańsza jego matka i dobrodziejka“, jak wszędzie w metryce zakonnej nazywana jest ksieni Tarłówna, obchodziła ten dzień uroczyście przez powtórzenie aktu profesyi „dla zbudowania świata i przykładu innym ksieniom“. Pokorna przełożona wymawiała się od tej uroczystości ostentacyjnej, jak mogła, lecz uległa wreszcie ojcom duchownym, którzy ją „gruntownemi racjami“ o pożytku tej powtórnej profesyi przekonali. Dowiedział się o zamierzonej uroczystości siostrzeniec ksieni sufragan krakowski

Potkański, a nie mogąc na akt ten we właściwym czasie przybyć, prosił o odłożenie profesyi na później. Zgromadzenie chętnie się przychyliło do jego prośby i naznaczyło uroczystość na św. Scholastykę. Na dzień oznaczony oprócz biskupa Potkańskiego, zjechał brat jego rodzony kasztelan radomski z żoną i wielu innych zacnych gości. Podczas sumy celebrowanej przez biskupa Potkańskiego Jezuita Bieńkowski wygłosił takie „wyborne i duchowne kazanie“ okolicznościowe, że zakonnice dla swego szczupłego, jak się wyrażały, dowcipu nie mogły go powtórzyć w metryce zakonnej, to też odsyłają ciekawego czytelnika do samego oryginału, wydane go następnie drukiem. Po tem kazaniu Tarłówna z pastorałem w rękę, otoczona 25 zakonnicami, trzymającami gorejące świece, weszła do kościoła „z taką skromnością i powagą, iż wielu świeckich ludzi do płaczu ze zbudowania pobudziła“. Mszy św. do końca słuchała ksieni siedząc przed wielkim ołtarzem w ławce. Połowa zgromadzenia otaczała ją klęcząc, a druga połowa śpiewała na chórze. Po „Agnus Dei“ biskup zaintonował hymn „Veni Creator“, który kapela dalej kontynuowała. Po złożeniu następnie przez ksienią ślubów zwyczajem profesek, po prześpiewaniu przez zakonnice, będące na chórze i na dole, „Suscipe“, i po przyjęciu przez solenizantkę komunii św., zaśpiewano „Te Deum“. Wróciła ksieni do kaplicy tak uroczyście jak przyszła do kościoła. W kaplicy zgromadzenie podziękowało

biskupowi i gościom, a ksieni zaprosiła wybitniejsze osoby na obiad zakonny“.

Żyła jeszcze Tarłówna po tym ostatnim akcie uroczystym w swém życiu lat siedem, umarła pełna zasług dla zgromadzania, opłakiwana przez zakonnice, 15 grudnia 1762 r.

Ks. Jan Gajkowski.

SPIS AUTORÓW.

	<i>Str.</i>
Ks. Józef Rokoszný	3
Gryf	8
S. Żeromski	12
Deotyma	18
Marya Konopnicka	19
St. Tarnowski	21
Arceybiskup Teodorowicz	23
Nina Spasowiczówna.	26
Cecylja Plater Zyberkówna	28
Irena Targowska	44
Józef Kallenbach	46
Józefa Żukowska	50
El. Orzeszkowa	52
W. Bandurski Biskup-sufragan lwowski	56
M. Zdziechowski	64
I. Pawiński	74
Bolesław Prus	77
Stanisław Tomkowicz	79
Daniel Paweł Śliwicki	86
A. Szech	90
Wł. Silnicki	97
Władysław Jelski	100
Ks. Wł. Fudalewski	103

Janina Górski	110
Witold Kamocki	112
Ks. Paweł Smolikowski C. R.	114
Antoni Mazanowski	125
A. Brückner.	128
Gryf	133
Ks. Fr. Leśniak Kan. Tarnowski i Kustosz Muzeum .	137
W. Bandurski Biskup-sufragan lwowski	148
Zygmunt Gloger	152
Nina Spasowiczówna.	155
Ks. Alf. Bułakowski	157
Ks. Władysław Czencz, T. J.	160
I. Pawiński	162
Witold Kamocki	165
Ks. Jan Gajkowski	170

